OBL „RIESE” ILE KOSZTOWAŁ SOWIOGÓRSKI „OLBRZYM”?

ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 1 (228) STYCZEŃ 2018 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

CZECHOSŁOWACJA 1968

WOJNA O ETER POLSKICH KOMANDOSÓW

> JASNOWIDZ PIŁSUDSKIEGO, CZYLI SPIRYTUALIZM II RP

> TAJEMNICZY SEZAM Z ZAMKU CZOCHA

www.odkrywca.pl

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

SPIS TREŚCI

STYCZEŃ 2018

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 130, 140 CZY 150 MLN RM. ILE MIAŁO KOSZTOWAĆ OBL „RIESE"?
ROMUALD OWCZAREK

10 NIEZNANE ZBIORY TAJNEGO POKOJU ZAMKU CZOCHA
PIOTR KUCZNIR

18 EKSPLORACJA WRAKU... POCIĄGU
TOMASZ BIENEK

22 CASSINO
OLAF POPKIEWICZ

30 ZIDENTYFIKOWANO MOGIŁY JEŃCÓW Z 1864 R.
ANDRZEJ DOBKIEWICZ, SOBIESŁAW NOWOTNY

100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI

36 ŻOŁNIERZE LEGIONÓW POLSKICH NA FRONCIE WSCHODNIM 1917-1918
PIOTR GALIK

40 PIŁSUDSKI, WIRUJĄCE STOLIKI I FENOMEN Z WARSZAWY
TOMASZ DUSZYŃSKI

KULISY HISTORII

44 DZIAŁANIA RADZIECKICH ZWIADOWCÓW W REJONIE JELENIEJ GÓRY W LUTYM 1945 R.
MACIEJ SZCZEREPA, WOJCIECH SZCZEREPA

48 „POCHMURNE LATO" I OPERACJA „DUNAJ"
RADOSŁAW SZEWCZYK

FORTYFIKACJE

56 MORSKI DYWIZJON ARTYLERII PRZECIWLOTNICZEJ W GDYNI
KAMIL SARAPUK

KOLEKCJONERSTWO

62 WOJNA KOLEKCJONERÓW
TOMASZ BIENEK

FELIETON

70 ROK TYSIĘCZNY
RADOSŁAW BICZAK

71 **KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"**
NOWOŚCI STYCZNIA

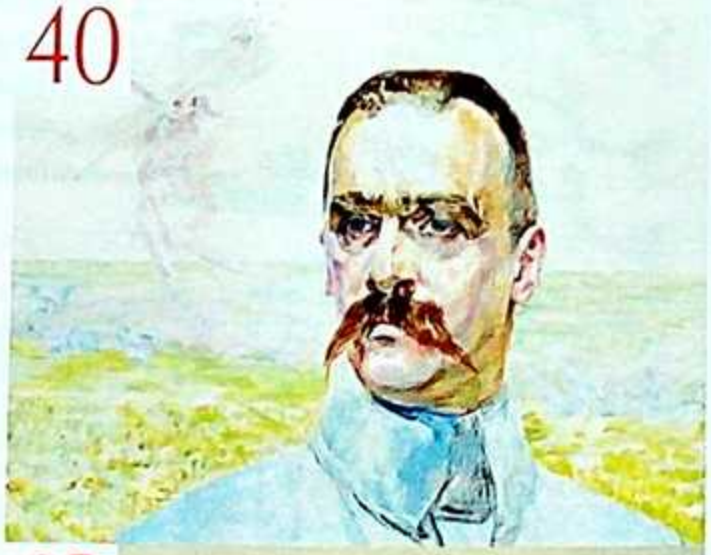

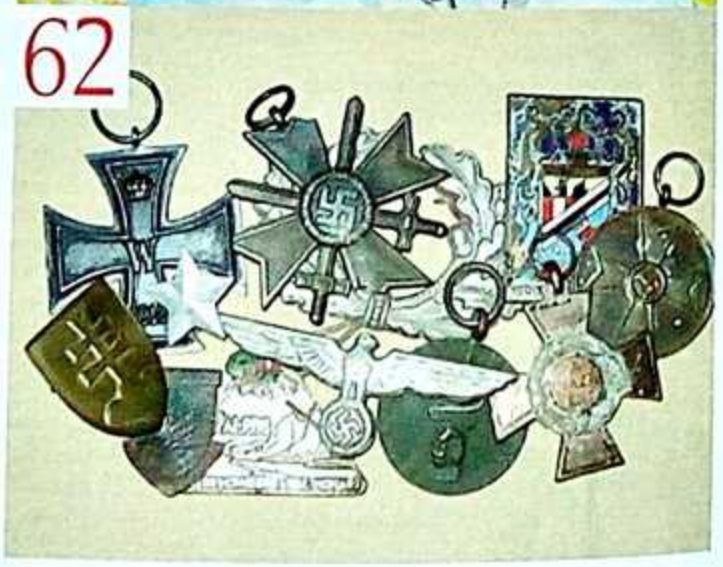

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

130, 140 CZY 150 MLN RM

ILE MIAŁO KOSZTOWAĆ OBL „RIESE”?

ROMUALD OWCZAREK

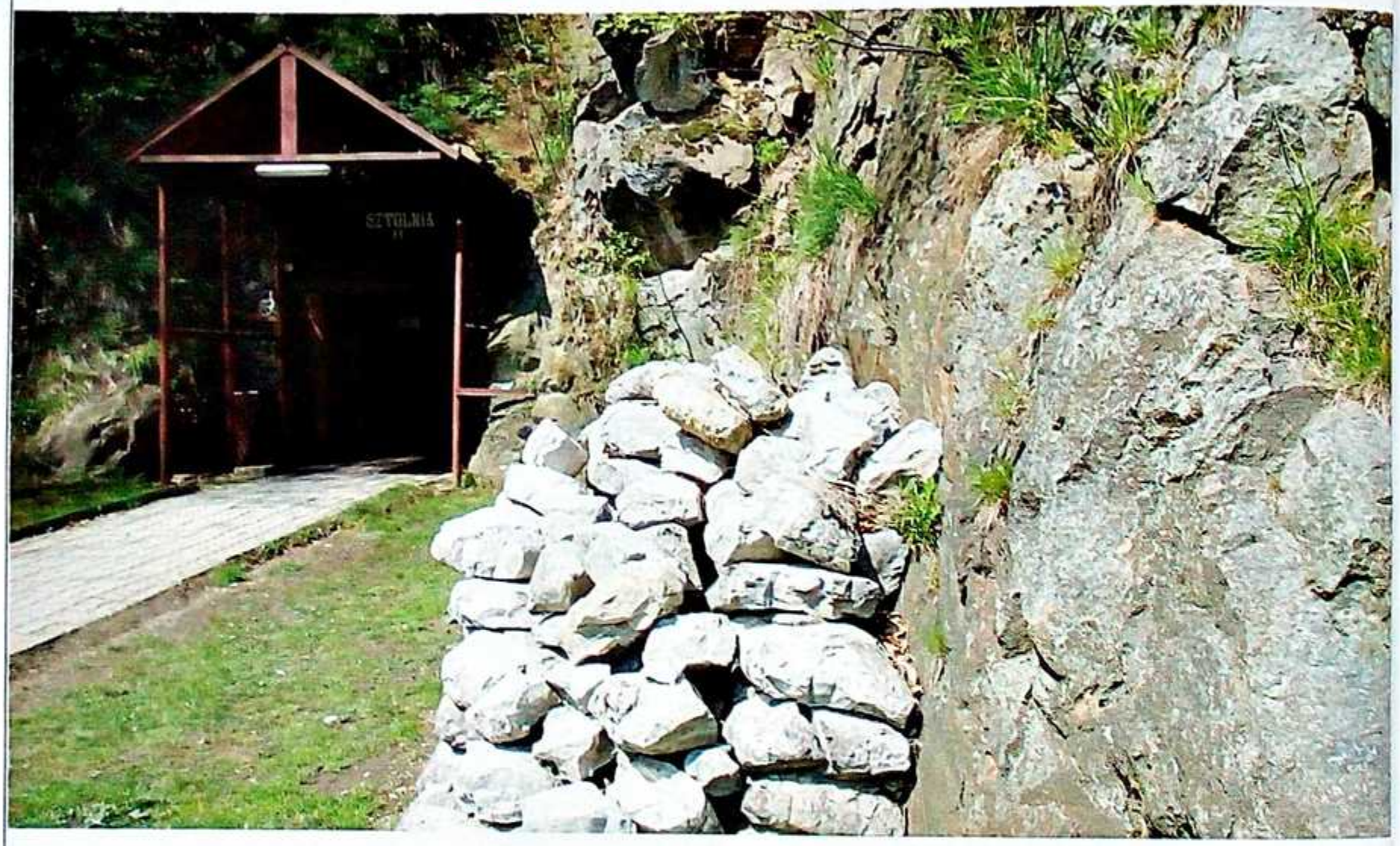

Kwestia kosztów budowy zespołu schronów w Górach Sowich pozostaje wciąż tematem wielu kontrowersji, sporów i polemik. Wynikało to głównie z trudności dotarcia do niemieckich dokumentów.

W czym problem?

Ano właśnie – jak to jest z rzeczywistą wielkością zaplanowanych kosztów projektu budowlanego, realizowanego przez Organizację Todt w latach 1943–1944. Nie, nie to nie pomyłka. Nowo ujawnione materiały źródłowe są już bardzo precyzyjne odnośnie planowanego terminu zakończenia robót.

W dokumentach wydziału planowania centrali OT w Berlinie (Amt Bau- OT Zentrale Berlin) oraz w agendach terenowych w Pradze i we Wrocławiu, sowiogórski projekt budowlany od początku do końca ma ten sam kryptonim „Industriegemeinschaft Schlesien” (w skrócie IG Schlesien).

W kwietniu 1944 roku nastąpiła zmiana zarządzania budowami poprzez likwidację Generalnego Kierownictwa Robót (Generalbauleitung) i utworzenie w Jedlince samodzielnego Wyższego Kierownictwa Robót (Oberbauleitung – w skrócie OBL) o nazwie „Riese”. Tak więc firmy budowlane realizujące tutaj zlecone roboty rozliczały się z zarządem budowy -OBL „Riese”, ale w ramach tajnego projektu „IG Schlesien”.

Mocno to podkreślam, bo zbyt często te dwa fakty są niewłaściwie podawane!

fot. arch. redakcji

Tak wielka budowa musiała generować koszty. Ich wysokość nie jest znana do dziś, ale wiedza o planach finansowych jest coraz większa.

Kosmiczne pieniądze

W wydanej w 1966 roku książce Alberta Speera „Wspomnienia" możemy odnaleźć interesujący nas wątek. Minister III Rzeszy ds. uzbrojenia i produkcji wojennej zaskoczył krótką informacją, że... na zespół schronów koło Bad Charlottenbrunn (Jedlina Zdrój) wydano 150 mln RM.

Speer jako pierwszy upublicznił kwotę 150 mln i była to tak wysoka wielkość, że nikt nie chciał wierzyć w jej prawdziwość. Do pewnego czasu i ja należałem do tych osób.

James O'Donnel i Uwe Bahnsen – autorzy książki „Die Katakombe. Die Ende in der Reichskanzlei" – chcąc rozwiać wątpliwości, odbyli z Albertem Speerem kilka rozmów. Speer z początku też był trochę zaskoczony aż tak wielkim kosztem 150 mln RM, ale po kilku dniach – po sprawdzeniu swoich domowych notatek, udzielił im wyjaśnienia, że... nie może być mowy o pomyłce, tłumacząc to tym, że sprawa dotyczyć miała przecież największej spośród wszystkich kwater wojennych Hitlera. Trzeba tutaj jednak mieć na uwadze czas, kiedy padła ta kosmiczna kwota 150 mln RM. Zawarta jest ona w memorandum Speera z dnia 22 września 1944 roku, przekazanym adiutantowi Hitlera do spraw Wehrmachtu.

Kwotę 150 mln RM różnie się interpretuje. Jedni uważają, że Speer podał już poniesione wydatki na kompleks schronów koło Jedliny Zdroju – czyli do września 1944 roku, inni twierdzą, że była to tylko ogólna planowana wielkość nakładów finansowych.

W 2000 roku ukazała się znana u nas publikacja Franza Seidlera i Dietera Zeigerta „Die Führerhauptquartiere" (polskie wydanie z 2001 roku „Kwatery Główne Führera). Co ciekawe, Seidler podaje zgoła inną wysokość kosztów – 130 mln RM! Skąd zatem taka różnica? Seidler powołał się na publikacje: Williego Boelckego „Deutschland Rüstung im Zweiten Weltkrieg" oraz Piotra Kruszyńskiego „Podziemia w Górach Sowich i zamku Książ". Ale tutaj mała niespodzianka, bowiem obaj autorzy podają kwotę... 150 mln RM (zapewne za Speerem). Uważam, że Seidler po prostu pomylił się i w trakcie adiustacji maszynopisu nie zauważono oczywistego błędu. Zaskakuje tylko, że Seidler w ww. publikacji pozwala sobie na jeszcze inne nieścisłości, choćby pominięcie przy omawianiu realizowanych przez OBL „Riese" takich obiektów, jak na przykład Włodarz czy Sokolec! Ale Seidler ma swoją koncepcję i uważa, że w Górach Sowich realizowano jednocześnie budowę kwatery głównej Hitlera oraz podziemną fabrykę amunicji lub samolotów.

Albert Speer omawia plany z Adolfem Hitlerem.

Raport początkowy

1 lipca 1944 roku nastąpiła reorganizacja obszarów działania grup wielozadaniowych Organizacji Todt (Einsatzgruppen OT – w skrócie EG). Dolny Śląsk został przypisany do nowo utworzonego obszaru EG VII Deutschland (wspólnie z Górnym Śląskiem, Protektoratem Czech i Moraw oraz Okręgiem Sudeckim) z siedzibą w Pradze. Na czele EG VII stanął Walter Schlempp. Jednym z pierwszych jego poleceń było zinwentaryzowanie wszystkich mu podległych budów. Z dokumentu z datą 21 lipca 1944 roku wynika, że na obszarze Dolnego Śląska funkcjonowały 4 Wyższe Kierownictwa Robót (OBL), w tym jedno w Jedlinie Zdroju. W tym dokumencie poszczególne OBL podaje się nazwami ich siedzib (Jedlina Zdrój, Wrocław, Świdnica i Görlitz). Ów raport dotyczy również finansowego zaawansowania w poszczególnych OBL. Oto, co zapisano w nim dla OBL Jedlina Zdrój:

– dotychczasowe koszty budowy: ok. 24 mln RM,

– liczba kadry wykwalifikowanej i pomocniczej – ok. 4 000 osób,

– liczba zatrudnionych ogółem – 30 788 osób.

Zatem od początku budowy do połowy lipca 1944 roku wydatkowano blisko 24 mln RM, tj. zaledwie 17% tzw. kwoty Speera.

Plany finansowe

W ślad za przedmiotowym raportem szefostwo EG VII w Pradze szybko przystąpiło do opracowania planów na III kwartał 1944 roku. Przyjęto nowy typ programu budowlanego – Mindestbauprogramm (program najpilniejszych zadań – tzw. minimum M). Wśród 50 budów z całego Dolnego Śląska ujęto również sowiogórski kompleks budowlany.

Dla Wyższego Kierownictwa Robót „Riese" zaplanowano:

Nazwa: Bauvorhaben Industriegemeinschaft Schlesien, >>>

Zagłada Riese. Romuald Owczarek
Autor książki próbuje wyjaśnić, dlaczego słynny projekt budowlany III Rzeszy o kryptonimie Riese nigdy nie został ukończony. Stara się wytłumaczyć, czemu przedsięwzięcie zakończyło się zagładą, skoro realizowały go najlepsze niemieckie firmy, na budowę trafiały ogromne ilości materiałów, a pracami zarządzała Organizacja Todt, uznawana za najsprawniejszą machinę budowlaną II wojny światowej.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Część mapy Dolnego Śląska z kodami budów w III kwartale 1944 roku.

>>> Dotychczasowy kod budowy: OT b 1000,

Nowy kod budowy: Ga 45 M,

Ogólny koszt budowy: 140 mln RM,

Nakłady finansowe na 1944 rok: 140 mln RM,

Nakłady finansowe na 1945 rok: nie planuje się,

Siła robocza: 15 000 osób.

Powyższy wypis z planu na III kwartał 1944 roku przynosi same niespodzianki. Pojawia się nieznana dotychczas wysokość kosztów budowy, czyli 140 mln RM. Mało tego – taką wysokość nakładów zaplanowano w całości do wydatkowania do… końca 1944 roku, co zapewne jest nie lada sensacją. Oczywiście nie może być mowy o żadnej pomyłce. Jest tak ujęte w planie i nic tego nie zmieni. Mnie zainteresowała o wiele bardziej inna sprawa. Kierownictwo EG VII Praga zmieniło wszystkim budowom dotychczasowe kody. IG Schlesien teraz operowało kodem: Ga 45 M. M – to Mindestbauprogramm, 45 – to numer porządkowy w Mindestbauprogramm. Ale mamy jeszcze Ga! Gdyby nie załącznik graficzny do planów na III kwartał 1944 roku, nie zgadłbym. Zachowała się mapa Dolnego Śląska, na której naniesiono 50 budów z Mindestbauprogramm. Choć na mapie podano tylko kody budów, to nie zapomniano o legendzie.

I to w niej odnaleźć można oznaczenia kodów, np.: C – zakłady chemiczne, D – górnictwo, E – energetyka. Są też dwa kody G: Ga – OKH, Gc – OKL. A to niespodzianka – Ga – to Oberkommando des Heeres – Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych.

Wydawało się, że będzie prościej, a tu cała koncepcja budowlana staje się coraz bardziej tajemnicza. Jeśli miała to być kwatera główna Hitlera, to raczej powinniśmy oczekiwać kodu OKW Oberkommando Wehrmacht (Naczelne Dowództwo Wehrmachtu – mając na uwadze, że budowę kwater Hitlera z reguły zlecała Adiutantura Wehrmachtu).

Warto tutaj przypomnieć, że zgodnie z założeniami planisty kwater Hitlera Baurata Siegfrieda Schmelchera (znanymi między innymi z tzw. dokumentacji Schmelchera z listopada 1944 roku), IG Schlesien miało być ukończone dopiero w sierpniu 1945 roku.

Czy te sprzeczności można jakoś pogodzić? Może dobrą podpowiedzią byłoby tutaj przypomnienie dyrektywy Alberta Speera z czerwca 1944 roku o tzw. koncentracji sił i środków oraz realizacji tylko takich projektów budowlanych, które możliwe są do ukończenia w ciągu 6 miesięcy. Czy zatem pozornie skrócono termin realizacji FHQ do końca roku 1944, tylko po to, by IG Schlesien nie… wypadło z Mindestbauprogramm?!

Ale nadal pozostaje zagadką, dlaczego IG Schlesien przypisano Naczelnemu Dowództwu Wojsk Lądowych? Nie będzie to trwało długo, bo niebawem nastąpią kolejne przetasowania… Zapowiedzią pewnych zmian był rozkaz generała Alfreda Jodla z dnia 24 sierpnia 1944 roku o wstrzymaniu wszystkich prac naziemnych przy realizacji FHQ – Unterkunft IG Schlesien i skierowaniu uwolnionej siły roboczej do miejscowych robót podziemnych lub budowy schronów w Zossen lub Berchtesgaden. Następnym takim wydarzeniem było przywiezienie przez S. Schmelchera do Jedliny Zdroju, w dniu 28 września 1944 roku, nowych planów dla IG Schlesien. W wielu publikacjach plan ten nawet określany jest jako okrojony, co mogłoby się wydawać logiczne, jeśli uwzględnimy fakt, że w początkowej wersji planów Schmelchera obiekty naziemne (których budowę wstrzymał gen. Jodl) miały stanowić prawie 75% ogólnej powierzchni użytkowej całej planowanej kwatery.

Nie są nam znane do końca szczegóły techniczne zmienionych założeń projektowych, ale warto poznać, co zaplanowała EG VII Praga na IV kwartał 1944 roku.

Ostatni kwartał… OBL „Riese"

Zmieniająca się sytuacja militarna i pojawiające się nowe priorytety zmuszały ministerstwo uzbrojenia i produkcji wojennej do ciągłej weryfikacji dotychczasowych planów. Tak też było z planem działania EG VII z/s w Pradze przygotowanym na IV kwartał 1944 roku. W porównaniu z III kwartałem prawie całkowicie zmienił się wykaz najważniejszych budów do pilnej realizacji. Z dotychczasowych 50 budów na IV kwartał przeszło tylko 6, ale dopisano

fot. Vojensky Historicky Archiv w Pradze

50 nowych projektów budowlanych. W tej „szczęśliwej" szóstce znalazło się również Bauvorhaben Industriegemeinschaft Schlesien. I znów mamy niespodzianki. W planie dla OBL "Riese" zapisano:

Kod budowy: Gc 45 M,

Koszt ogólny budowy: 150 mln RM,

Siła robocza: 14 700 osób,

Środki finansowe na 1944 rok: 150 mln RM,

Okazuje się, że Speer w swoim memorandum z dnia 22 września 1944 roku i potem w swoich „Wspomnieniach" był w zgodzie z prawdą. Zaskakuje oczywiście wzrost kosztów budowy ze 140 na 150 mln RM, ale jeszcze bardziej zmiana kodu budowy z Ga na Gc. W IV kwartale 1944 roku projekt IG Schlesien został przypisany do... OKL (Oberkommando der Luftwaffe). Nie zmienia się tylko termin zakończenia budowy i wielkość siły roboczej.

Sprawa pojawienia się Luftwaffe w IV kwartale 1944 roku ma zgoła sensacyjne pokrycie w innych dokumentach archiwalnych. Otóż 25 listopada 1944 roku Szef Urzędu Budownictwa Luftwaffe kieruje skargę do EG VII w Pradze na niestosowne zachowanie się kierownictwa OBL

Wyciąg planu na IV kwartał 1944 r. z IG Schlesien za 150 mln RM.

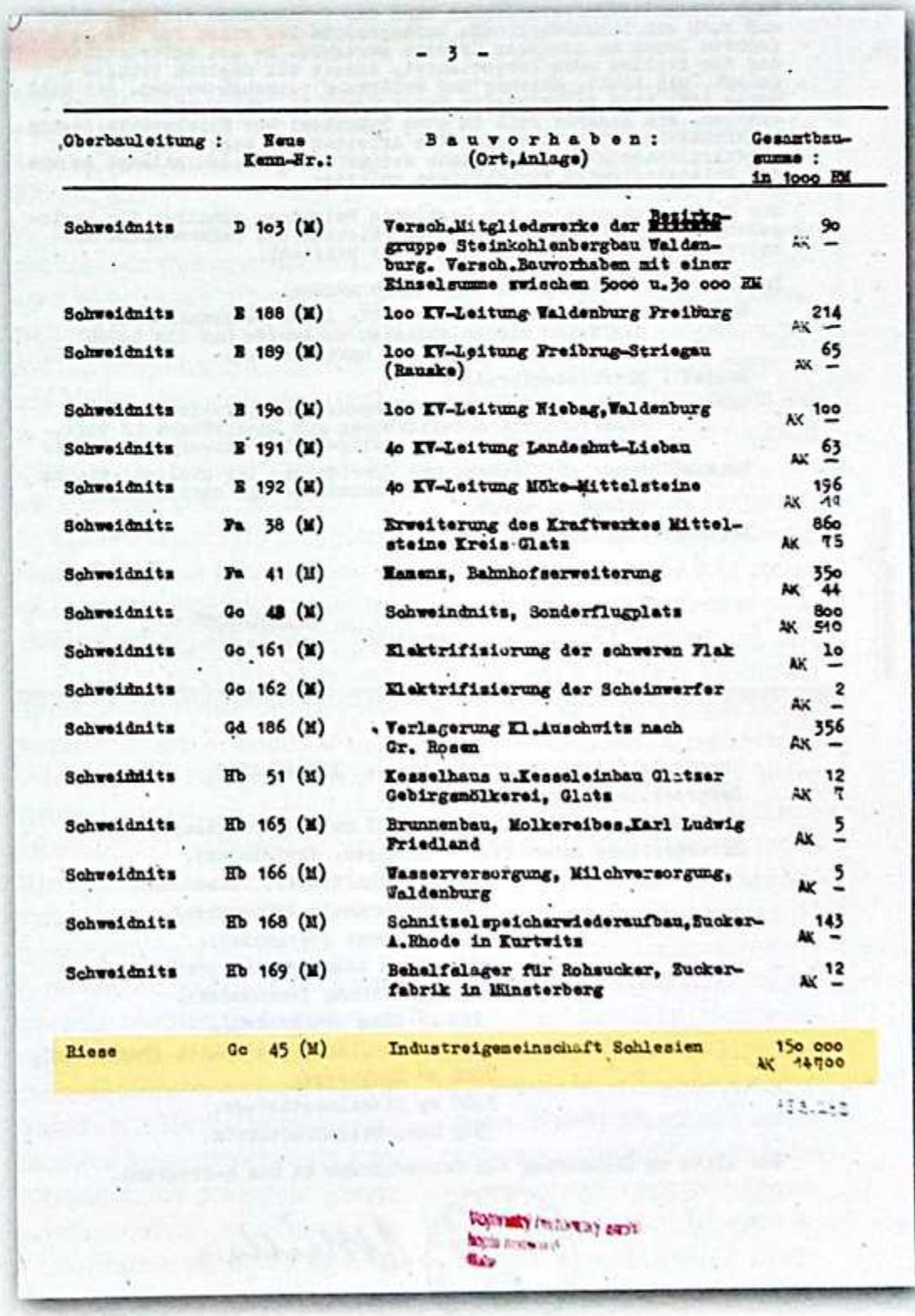

- 3 -

Oberbauleitung :	Neue Kenn-Nr.:	B a u v o r h a b e n : (Ort, Anlage)	Gesamtbausumme : in 1000 RM
Schweidnitz	D 103 (M)	Versch. Mitgliedswerke der Bezirksgruppe Steinkohlenbergbau Waldenburg. Versch. Bauvorhaben mit einer Einzelsumme zwischen 5000 u. 30 000 RM	90 AK —
Schweidnitz	E 188 (M)	100 KV-Leitung Waldenburg Freiburg	214 AK —
Schweidnitz	E 189 (M)	100 KV-Leitung Freiburg-Striegau (Rausse)	65 AK —
Schweidnitz	E 190 (M)	100 KV-Leitung Niebag, Waldenburg	100 AK —
Schweidnitz	E 191 (M)	40 KV-Leitung Landeshut-Liebau	63 AK —
Schweidnitz	E 192 (M)	40 KV-Leitung Möke-Mittelsteine	196 AK 10
Schweidnitz	Fa 38 (M)	Erweiterung des Kraftwerkes Mittelsteine Kreis Glatz	860 AK 75
Schweidnitz	Fa 41 (M)	Mamens, Bahnhofserweiterung	350 AK 44
Schweidnitz	Go 48 (M)	Schweidnitz, Sonderflugplatz	800 AK 510
Schweidnitz	Go 161 (M)	Elektrifizierung der schweren Flak	10 AK —
Schweidnitz	Go 162 (M)	Elektrifizierung der Scheinwerfer	2 AK —
Schweidnitz	Gd 186 (M)	Verlagerung Kl. Auschwitz nach Gr. Rosen	356 AK —
Schweidnitz	Hb 51 (M)	Kesselhaus u. Kesseleinbau Glatzer Gebirgsmölkerei, Glatz	12 AK 7
Schweidnitz	Hb 165 (M)	Brunnenbau, Molkereibes. Karl Ludwig Friedland	5 AK —
Schweidnitz	Hb 166 (M)	Wasserversorgung, Milchversorgung, Waldenburg	5 AK —
Schweidnitz	Hb 168 (M)	Schnitzelspeicherwiederaufbau, Zucker-A. Rhode in Kurtwitz	143 AK —
Schweidnitz	Hb 169 (M)	Behelfslager für Rohzucker, Zuckerfabrik in Münsterberg	12 AK —
Riese	Gc 45 (M)	Industreigemeinschaft Schlesien	150 000 AK 14700

U bram Riese. Romuald Owczarek

W czasie wojny w ramach ściśle tajnego projektu „Riese" III Rzesza prowadziła budowę ogromnych podziemnych obiektów. Jednocześnie trwał proces przenoszenia do okolicznych miejscowości wielu niemieckich zakładów zbrojeniowych. Z powodu tych działań od lat pojawia się wiele pytań dotyczących ewentualnych powiązań projektu „Riese" z przemysłem zbrojeniowym Rzeszy...

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Riese w stosunku do oddelegowanego pracownika Luftwaffe – Rudolfa Wernera. Otóż Werner miał nadzorować i wspierać prace budowlane. Kiedy przyjechał do kierownictwa OBL „Riese" nikt nie chciał z nim rozmawiać. W załączeniu do ww. skargi dołączono 2 rozporządzenia Ministra Lotnictwa i centrali OT w Berlinie i poproszono, by EG VII w Pradze osobiście przekazało je dalej do Jedliny Zdroju. Sprawa ma swój dalszy ciąg jeszcze w grudniu 1944 roku, kiedy to OT zażyczyła sobie całe dossier R. Wernera, co raczej była próbą odwlekania w czasie możliwości rozpoczęcia pracy przez przedstawiciela Luftwaffe.

Nie miało to i tak większego znaczenia, bo przecież Speer oczekiwał, że zadanie inwestycyjne IG Schlesien będzie zakończone do końca 1944 roku, tak jak było to ujęte w planach na III i IV kwartał 1944 roku.

Całe te prace planistyczne, zmieniające się wielkości kosztów budowy, kompletnie nierealny termin zakończenia w ciągu 6 miesięcy IG Schlesien (lipiec – grudzień 1944 roku), przypisywanie w planach III i IV kwartału 1944 roku Bauvorhaben do OKH lub OKL nie można na razie jakoś sensownie wytłumaczyć. A przecież miała to być budowa symbol dla samego Hitlera?!

Dziś wiemy, że projekt nie został zrealizowany i OT w Górach Sowich poniosło porażkę. A może tak miało być? >>>

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Plany na 1945 rok

Einsatzgruppe D VII w Pradze funkcjonowała nadal (od lutego 1945 roku jako EG Brugmann), więc musiała przygotować plany działania na I kwartał 1945 roku. Zarówno dla Górnego i Dolnego Śląska były już zmienione założenia strategiczne. Przede wszystkim Górny Śląsk został przejęty przez wojska (Grupa Armii A) gen. Ferdinanda Schörnera i ogłoszony jak Twierdza Górny Śląsk (Festung Oberschlesien).

Rozpoczęta 12 stycznia 1945 roku ofensywa Armii Czerwonej zastopowała wszelkie budowy poza robotami na rzecz zwiększania obronności regionu (Ostwall, Linia Bartholda).

Zagrożony stawał się również Dolny Śląsk, bowiem pod koniec stycznia 1945 roku Armia Czerwona dotarła już na linię Odry.

W przypadku wkraczania wojska na dany obszar zmieniała się rola i zakres zarządzania siłami oraz środkami będącymi w dyspozycji Organizacji Todt. Plany własne EG D VII dla Dolnego Śląska na 1945 rok ograniczyły się tylko do 4 zadań realizowanych w ramach programu Geilenberga (produkcja paliw i smarów dla Luftwaffe).

Uratowały się trzy projekty chemiczne w Wałbrzychu oraz jeden w Młynowie koło Kłodzka. Całkowicie wstrzymany został Mindestbauprogramm. Oczywiście w planach nie ma już Bauvorhaben Industriegemeinschaft Schlesien. Zarząd budowy OBL Riese został rozwiązany, a w samym pałacu w Jedlince powstało kierownictwo robót, ale do całkiem innych zadań, o czym pozwolę sobie napisać w odrębnym artykule.

Z wielu nowych dokumentów wynika, że główna centrala OT w Berlinie już pod koniec listopada 1944 roku była świadoma, że sowiogórski „Olbrzym" nie będzie wybudowany. Wtedy też zaczęto przygotowywać się do zmiany funkcjonowania jednostek OT w warunkach bezpośredniego zagrożenia agresją wroga.

Pismo z 26.04.1945 roku dot. pilnego zagospodarowania sztolni w Górach Sowich.

32

OT-Einsatzgruppe Brugmann (VII)
Der Einsatzleiter
im Ber.der RU-Insp.VIIIa
Lv / A1 Tgb.Nr.149/45 g.

Bad Warmbrunn,den 26.April 1945,
Giersdorferstraße 17,
Fernruf: Bad Warmbrunn 404.

An
OT-Einsatzgruppe Brugmann (VII)
z.H.Herrn Oberbaurat Foerster,
(11b) P r a g 1
Kreuzherrengasse 1.

OT-Einsatzgruppe Brugmann (VII)
Eingegangen: 27. April 1945
Tgb. Nr.: 1341/45 g
Anlagen:

Betr.: Herrichtung der Stollen-Anlagen bei "Riese"

Der Reichsverteidigungskommissar für Niederschlesien hatmir erklärt, daß zur Verteidigung des Landes die Stollen-Anlagen von Riese und sonstige dort vorhandene geeignete Baulichkeiten für die Wehrwirtschaft nutzbar gemacht werden müßten.und daß er mir in diesem Sinne Befehle erteile.

Es handelt sich darum, für die Verteidigung des Landes in autarker Herstellung zu fertigenden Verteidigungsmittel wie Infanterie - Munition, Maschinengewehrteile u. s. bombensicher unterzubringen und zu lagern.

Nach mehrmaliger Besichtigung sind die vorhandenen Stollenanlagen und auch ein bunkerähnliches Betongebäude bei Riese für den gedachten Zweck in gewissem Umfange geeignet. Es ist erforderlich, daß die Stollen noch hergerichtet, soweit als möglich trocken gelegt, mit Licht, Heizung und Belüftung versehen werden. Ein Teil davon läßt sich in kürzester Frist,(etwa 1 - 1½ Wochen) bereitstellen, ein anderer Teil in etwa 3 Wochen. Der Reichsverteidigungskommissar wünscht jedoch, daß die Arbeiten zur Bereitstellung von unterirdischen Räumen sich noch weiter fortpflanzen solange es ebe die kriegsbedingten Verhältnisse zulassen.

Die Rüstungsinspektion hat bestimmte Weisungen erhalten für Verlagerung von Betrieben in die unterirdischen und Bunker-Räume und unterstützt das Bauvorhaben in jeder Hinsicht.

Im einzelnen sich fägende Angaben zu machen:

Bauherr: Es wird vorgeschlagen, die Industriegemeinschaft Schlesien wieder aufleben zu lassen und die neuen Anlagen als reichseigen herzustellen.

Bauort : Oberwüstegiersdorf

Verwendungszweck : Industrieverlegung und operative Zwecke; Schaffung von Arbeiterräumen und Lagerräumen in vorhandenen Stollen des stillgelegten Bauvorhaben Riese.

Bausausführung: Auskleidung und Herrichtung der Stollen; Einbau einer Belüftungs-, Beleuchtungs- und elektrischen Heizungs-Anlage.

Bausumme: 250,000,-- RM.

b.w.

OT 6/4

Voraussichtliche Fertigstellung : 15.Mai 1945.
Erforderliche Tagewerke: 5000.
Erforderliche Arbeitskräfte : 200 Mann (vorhanden).
Erforderliche Baustoffe: 5 to,Eisen, (vorhanden),
300 m³ Schnittholz (vorhanden),
50 fm Rundholz (vorhanden),
600 t Zement (vorhanden),
50000 Stück Ziegelsteine (vorhanden),
4000 kg Bitumen (vorhanden),
150 m² Glas (vorhanden),
5500 t Kies, Sand und Splitt (vorhanden),
2000 m² Dachpappe,
5000 kg Dieseltreibstoff,
500 Ltr. Otto-Kraftstoff.

Ich bitte um Einstufung des Bauvorhabens in das M-Programm.

Oberbaudirektor.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Jest już znanych wiele dowodów, które jednoznacznie potwierdzają kres projektu IG Schlesien na przełomie 1944/1945 roku. Wkrótce miejscowe składy materiałów budowlanych stały się swego rodzaju hurtownią, skąd wywożono np. piasek i cement na realizację budów w ramach programu Geilenberga czy szyn, kolejek, wagoników na rozbudowę lotnisk dla Me-262 i Ar-234 – w ramach Silberprogramm.

Próba reaktywacji IG Schlesien

Skoro artykuł poświęcony jest finansom dotyczących sowiogórskiej inwestycji, to warto na zakończenie wspomnieć o niezwykłym wydarzeniu, jakie miało miejsce pod koniec kwietnia 1945 roku. Chodzi o nie do końca wyjaśnione przedsięwzięcie, na które OT zaplanowało 200 tys. RM.

24 kwietnia 1945 roku z Cieplic Śląskich (miejsce przeniesienia z Wrocławia służb nadzorujących prace OT na Dolnym Śląsku) do Pragi przyjechał dyrektor budowlany Müller, z którym omówiono pilny projekt zagospodarowania części sztolni, wykonywanych wcześniej pod nadzorem OBL „Riese".

Sprawa dotyczyła przygotowania miejsc na zmagazynowanie broni, amunicji, części do broni maszynowej.

Rozkaz w tej sprawie wydał sam Gauleiter Karl Hanke, pełniący jednocześnie funkcję Komisarza Obrony Dolnego Śląska. Pilność zadania była ogromna, ponieważ do 15 maja 1945 roku należało zaadaptować część sztolni oraz jeden obiekt betonowy o charakterze bunkra. We wniosku zaznaczono, że adaptowane obiekty muszą być odporne na bombardowania. 26 kwietnia do wyższego radcy budowlanego Förstera w Pradze trafił formalny wniosek o ujęcie projektu w... Mindestbauprogramm! Zachował się cenny dokument w tej sprawie, który dokładnie opisuje główne założenia projektu:

A. Siedziba kierownictwa robót: Głuszyca Górna.

B. Inwestor zastępczy: IG Schlesien lub nowy podmiot gospodarczy.

C. Zakres robót: obudowanie sztolni, montaż urządzeń wentylacyjnych i instalacji elektrycznej oraz wykonanie ogrzewania elektrycznego.

D. Termin wykonania prac: 15 maja 1945 rok.

E. Liczba robotników: 200.

F. Liczba dniówek: 5000.

G. Niezbędne materiały z byłego obszaru OBL „Riese":

- 5 500 ton piasku,
- 50 tys. sztuk cegieł,
- 600 ton cementu,
- 300 m^3 tarcicy,
- 50 m^3 okrąglaków,
- 150 m^2 szkła,
- 5 ton stali,
- 4 tony bitumu.

Dodatkowo należało zabezpieczyć 500 litrów oleju napędowego oraz 2000 m^2 papy izolacyjnej.

Wniosek został zaakceptowany 28 kwietnia i dyrektor Müller w Cieplicach mógł dalej działać. Jednocześnie zalecano, o ile to możliwe, o przedterminowe wykonanie zadania. Ten ostatni rozkaz, dotyczący Gór Sowich na 2 tygodnie przed końcem wojny, zaskakuje wieloma aspektami.

Dlaczego na siedzibę kierownictwa robót wybrano Głuszycę Górną, w której wcześniej nie było żadnej agendy OT? W tym czasie w pałacu w Jedlince znajdowało się kierownictwo X Brygady Frontowej OT i być może, ze względu na tajność projektu, chciano zachować go w jak największej tajemnicy. Które sztolnie wybrano wraz z obiektem betonowym? Należałoby się raczej skłaniać w kierunku Osówki i Kasyna – najbliżej usytuowanych od Głuszycy Górnej. Ciekawie też wygląda kwestia stopnia adaptacji pomieszczeń. Miały to być obetonowane, suche (ogrzewanie elektryczne) oraz dobrze wentylowane pomieszczenia. Należy zaznaczyć, że nie zaplanowano żadnych robót, które wskazywałyby na przygotowywanie pomieszczeń mieszkalnych (brak doprowadzenia wody, kwestie kanalizacji, itp.). Zaskakuje jednak sprawa przeznaczenia adaptowanych sztolni. Jeśli już zaplanowano jakiś magazyn broni i amunicji, to zapewne nie mogła to być tradycyjna broń, którą można było spokojnie schować bez potrzeby uciekania się do pomieszczeń odpornych na bombardowania. Czy zatem chciano tutaj ukryć coś z broni typu Wunderwaffe? Oczywiście magazyn broni mógł być tylko przykrywką dla całkiem innego celu – ukrycia czegoś, co nie mogło ulec zniszczeniu!

2 maja 1945 roku został zdobyty Berlin, a wojna zakończyła się po dalszych sześciu dniach. Nie było więc czasu, żeby OT w Górach Sowich mogło w pełni wykonać tajemniczy rozkaz K. Hankego. Warto zwrócić uwagę na jeszcze dodatkowy aspekt. **Rozkaz Hankego dowodzi, że na terenie Gór Sowich nie było wykończonych części IG Schlesien, które można byłoby od zaraz wykorzystać, np. jako gotowe miejsca do składowania, ukrycia czegoś!**

Autor serdecznie dziękuje Panu Januszowi Barszczowi – dyrektorowi Muzeum Gross-Rosen w Wałbrzychu – za udostępnienie i wyrażenie zgody na wykorzystanie w artykule dokumentów archiwalnych z Vojensky Historicky Archiv w Pradze (OT 6/4, 47/2) - jako kopii z zasobów Muzeum Gross-Rosen (MGR-A 9440/DP).

Romuald Owczarek

fot. Vojensky Historicky Archiv w Pradze

Riese przewodnik. Góry Sowie.
Wincenty Jerzy Drożyński
To nie jest typowy przewodnik. Zawartych tu informacji nie można traktować jako prawdy objawionej. Sensu stricto publikacja ta nie stanowi wartości historycznej. Może być jedynie postrzegana jako przedstawienie zbioru miejsc i opowieści świadków oraz legend z tym związanych. Reszta jest wolną interpretacją autora i osób z nim współpracujących.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

NIEZNANE ZBIORY TAJNEGO POKOJU ZAMKU CZOCHA

PIOTR KUCZNIR

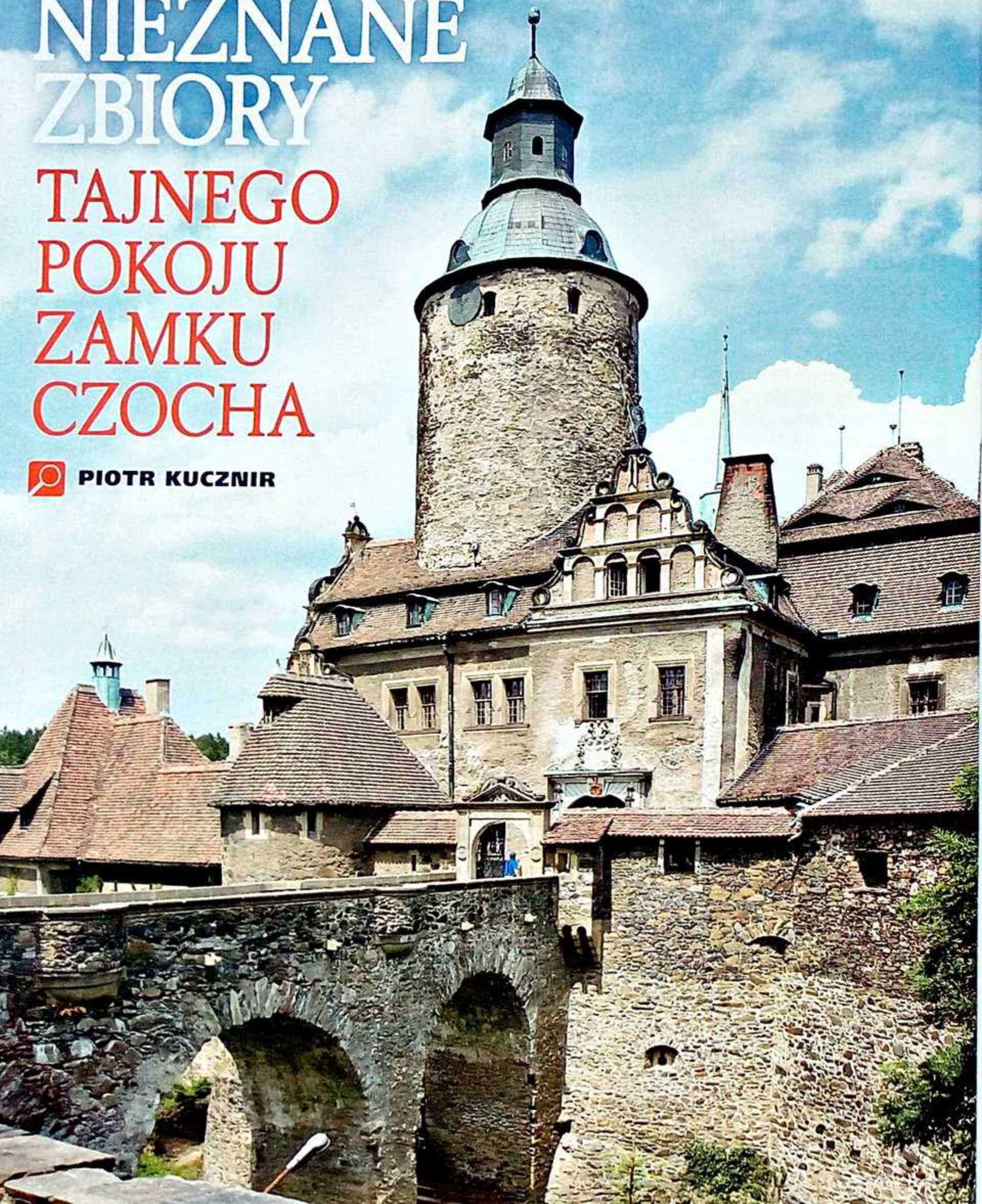

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Choć wielu wylało wiele atramentu, pisząc o zamku Czocha, choć wielu wypowiedziało wiele słów na temat jego tajemnic, to jednak, chyba na szczęście, nigdy nie nastąpi ten czas, kiedy zostanie powiedziane i napisane o nim wszystko.

Sam obiekt, jak i region, zasługują na to, aby o nim pisać, robić zdjęcia i zachęcać do poznania jego historii, tej prawdziwej i tej ukrytej za wieloma legendami…

Wiek XX i XXI jest dla zamku szczególnie łaskawy, bo obfituje w mnogość piszących o tajemnicach, a to o „Twierdzy Szyfrów", a to o kryształkach z zamku, a to o podziemiach i tajnych przejściach, których Bodo Ebhardt, architekt cesarza Wilhelma II, nie poskąpił zamkowym murom i nie tylko… Całe mnóstwo osób interesujących się losami zamku jak i regionu przekonana jest, że okres II wojny światowej to ten, który jest najbardziej ciekawym dla pasjonatów historii. Otóż nie jest to do końca prawdą.

Po 1945 roku, kiedy ziemie zachodnie zostały przyznane Polsce przez zwycięskich aliantów, nie były one tylko magazynem dzieł sztuki dla Warszawy, Krakowa i innych miast.

Był to także okres, w którym powstawały nowe tajemnice, związane już z czasem powojennym tych ziem. Wiele obiektów było zamienianych w coś, co był wymarzonym siedliskiem dla tych, którzy niekoniecznie chcieli, aby znane było wszystkim to, co robią w murach tej lub tamtej budowli, znajdującej się na ziemiach odzyskanych. Tak też i było z zamkiem Czocha. Choć zapewne wszystkim znany jest on jako Wojskowy Dom Wypoczynkowy, to zapewne niewielu wie, że nie była to jedyna rola, jaką pełnił ten piękny obiekt, przebudowany na początku XX wieku w stylu romantyczno-gotycko-renesansowym przez Bodo Justusa Ebhardta dla Ernesta Fridricha Guetschowa. Pełnił on funkcję, którą pokrótce przedstawiłem na II spotkaniach pt. „Tajny zamek Czocha – tajemnice regionu". Odbyły się one w zamku 28 października 2017 roku. Tę rolę uda mi się może szerzej pokazać w innym, tylko temu poświęconym, artykule.

Zamek Czocha od frontu wygląda jak bajkowa budowla. Niestety, z tego miejsca znanego wszystkim miłośnikom Czochy, nie widać miejsca gdzie jest skrytka. Znajduje się ona w tylnej części dachu zamkowego.

Nieznany zbiór

Jest rok 2015. Na zamek weszła ekipa remontowa, która ma za zadanie założenie na dachach zamkowych nowej dachówki. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, bo przecież takich prac na obiektach zabytkowych wykonuje się wiele w ciągu roku w każdym zakątku Polski, gdyby nie jedno wydarzenie, a w zasadzie zbieg wielu wydarzeń. Otóż przy zdejmowaniu dachówek i całego poszycia dachu prace postępują bez żadnych niespodzianek… i nagle, podczas remontu nad jednym z pokoi 4 piętra zamkowego, pewien pracownik budowlany trafił na… pomieszczenie, do którego nie było żadnego dostępu z poziomu pokoju czwartego piętra. Nic, lita ściana. Dopiero wejście przez odpowiednio zakamuflowane przejście na dachu zamku dawało dostęp do tajnego pomieszczenia pokoju! Tam jeden z pracowników firmy budowlanej odkrył skrzynie i przedmioty leżące luzem. Przedmiotów, które zostały ukryte przed oczami nowych właścicieli zamku, było ich przeszło sto. Wszystkie rzeczy składowane w tej skrytce-pokoju o rozmiarach 2,5x1,5 metra były starannie poukładane tak, aby nic nie uległo zniszczeniu. O staranności osoby/osób, która(e) złożyła/ły te zbiory świadczy fakt, że stare oprawki miały jeszcze działającą wkręconą w nią żarówkę. Znalezisko wprawiło wszystkich w osłupienie! Na szczęście nie trafiło ono w ręce szabrowników czasów powojennych, ani też w ręce nie mniej pazernej władzy ludowej, która po wojnie przemierzała ziemie zachodnie, tropiąc wszystko, co można by zawłaszczyć.

Drugim szczęściem, jakie miały te zbiory, odnalezione w 2015 roku podczas remontu dachu, było to, że nie było to nic, co przypominałoby złoto, drogocenne kamienie czy wartościowe obrazy. Dla pracownika i ekipy budowlanej były to zbiory o małej wartości – w ich rozumieniu. Dlaczego to było szczęściem? Ano dlatego, że ludzka natura czasami płata figle w zderzeniu z czymś, co wydaje się bardzo cenne na pierwszy rzut oka.

Te dwa czynniki doprowadziły do tego, że po odkryciu tego tajemniczego pokoju z – jak się później okaże – bardzo cennymi skarbami zamku Czocha, zbiory te trafiły do depozytu zamkowego celem ich zbadania i poddaniu odpowiedniej konserwacji. >>>

Tajny Zamek Czocha. Piotr Kucznir
Czocha to jeden z najpiękniejszych i najbardziej zagadkowych zamków w Polsce. Dla wielu pasjonatów historii otaczająca go mgła tajemnicy łączy się głównie z losami tajnej niemieckiej maszyny deszyfrującej o kryptonimie „Ryba Miecz". To tylko jedna z wielu zagadek, które w swojej książce stara się wyjaśnić Piotr Kucznir. Autor jest od wielu lat związany z badaniami losów tego zamku.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

fot. Wikipedia

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

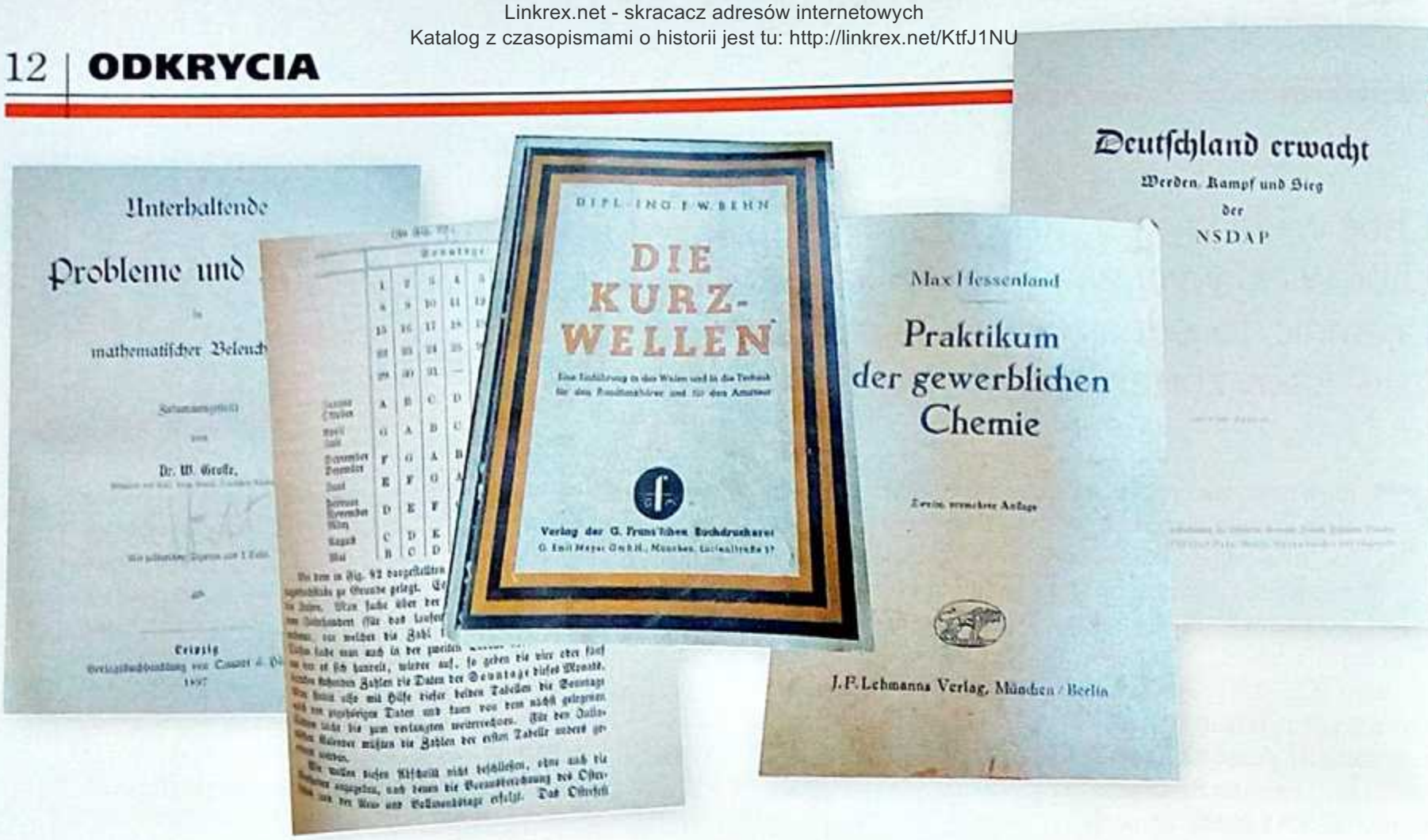

>>>

Przygotowania do katalogowania

Jest rok 2016. Dyrektor zamku, człowiek, który od początku objęcia tej funkcji myślał o jego promocji i pracach badawczych w różnych archiwach związanych z tym obiektem (Braubach, Wrocław, Jelenia Góra, Bolesławiec, Oleśnica) i mających na celu odkrywanie prawdziwych tajemnic i historii zamkowych, daje sygnał: katalogujemy zbiory i sprawdzamy, co też dokładnie nam się trafiło w tym tajemniczym pokoju-skrytce pod dachem zamkowym.

Tak nadchodzi czas prac nad gorącymi zbiorami, które spokojnie spoczywały w depozycie. Skarby podzielono na dwie części. Pierwsza część zawierała zbiory książkowe i dokumenty, druga zaś zbiory związane z techniką z tamtego okresu. Zaraz też po rozpoczęciu katalogowania i opisywania zbiorów książki trafiły do Archiwum Państwowego we Wrocławiu, gdzie przeszły profesjonalną konserwację, a zbiory techniki były skrzętnie przywracane do świetności na zamku Czocha.

W opisywaniu i konserwacji pomagały osoby z Łużyckiego Towarzystwa Historycznego Zamku Czocha: Dawid Binkowski, Agnieszka Łabuz, Krzysztof Benc i piszący ten artykuł. Trwało to kilka tygodni, bo pomimo odpowiedniego zabezpieczenia tych skarbów w 1945 roku, czas jednak zrobił swoje.

Zbliżał się wrzesień 2016 roku. Po zakończeniu prac nad renowacją i konserwacją zbiorów odnalezionych w tajnym pokoju-skrytce w 2015 roku, nadszedł czas na zaprezentowanie szerszej publiczności tego, co skrywało się przed oczami wszystkich przeszło 70 lat.

Od 11 września 2016 roku wszyscy zainteresowani historią zamku Czocha, w szczególności historią związaną z okresem drugiej wojny światowej, mogą zobaczyć na własne oczy to, co przeleżało siedemdziesiąt lat. Wystawa nosi tytuł „Skarby Zamku Czocha". I tak dochodzimy do sedna sprawy. Co też przeleżało owe siedemdziesiąt lat?

Skrzynia odkryta przez pracownika budowlanego zawierała bardzo wiele pozycji. Zbiór świadczył o tym, że chowającym musiał być ktoś, kto w sposób dowolny wkładał do skrzyni przedmioty tam znalezione.

Uznał więc za cenne do ukrycia gable, siekierę, piłę, ramę od roweru „Patria", kapcie wełniane, oprawy do lamp z opisaną już żarówką, ale też kuchenkę gazową, garnki emaliowane, zachowane w bardzo dobrym stanie, ba, nawet płaszcz wełniany jednego z członków rodziny Guetschowa, o czym świadczy wszywka wewnątrz płaszcza. Ten zbiór rzeczy, o widocznym emocjonalnym charakterze, uzupełniała bielizna osobista: koszule batystowe, kalesony, sukienka. Niektóre z nich mocno pocerowane, co świadczyło o tym, że znaszano kiedyś bieliznę do granic jej wytrzymałości. Jakość tych ubrań świadczyła o tym, że musiały być one najprawdopodobniej przekazywane służbie zamkowej przez rodzinę Guetschowa celem >>>

Książki znalezione w skrytce, w tym jedna z własnoręcznym podpisem syna Guetschowa i jego osobistymi notatkami.

Przedmiot (pompa) wykonany w firmie Waltera. Czy jest to część silnika rakietowego, czy może część pompy wodnej?

Autofrigor – urządzenie chłodzące firmy szwajcarskiej stojące w tzw. winiarni zamku.

Silnik Siemensa zachowany w dobrym stanie.

Zamek Czocha. Dzieje, tajemnice, legendy. Marek Dudziak
Autor przedstawia historię Czochy, opisuje jej wygląd wczoraj i dziś. Przybliża postaci najbardziej intrygujących właścicieli. Jest przewodnikiem po dostępnych dla turystów komnatach i pomieszczeniach. Pisze o legendach, skarbach, czasach II wojny światowej. Stawia fascynujące pytania, które wciąż pozostają bez odpowiedzi.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

fot. P. Kucznir

>>> jej używania. Zbiór uzupełniały części wyposażenia wojskowego, takie jak pas wojskowy, koalicyjka (niestety w bardzo złym stanie, tak jak i część garderoby). Coraz bardziej ciekawie zaczynało się jednak robić w momencie, kiedy dochodzimy do części książek i sprzętu technicznego ze skrytki z tajnego pokoju.

Intrygujące przedmioty

Otóż jedna z pozycji to książka jedynego syna Guetschowa, Herberta, podpisana przez niego samego we wrześniu 1917 roku, a jej tytuł brzmi: „Unterhaltende Probleme und Spiele mathematischer Beleuchtung", data wydania Lipsk 1897 rok. Książka cenna, bo zawiera osobiste notatki syna Guetschowa, poczynione na marginesach. Kolejne perełki zamkowego skarbu to „Die Kurz--wellen" (Fale Krótkie), „Praktikum der gewerblichen Chemie" (Staż w chemii komercyjnej), „Deutschalnd erwacht Werden, kampf und Sieg der NSDAP" (Niemcy budzą się, walczą i wygrywają NSDAP). To tylko te z bardziej wymownych tytułów, jakie znajdowały się w skrytce. Do książki pod tytułem„Die Kurz--wellen" dołączony był odbiornik fal krótkich, który w idealnym stanie zachował się i jest dzisiaj wyłożony w gablocie na zamku Czocha, uzupełniając wystawę „Skarbów Zamku Czocha". Jak widać, ktoś wybierający przedmioty do skrzyni ukrytej na czwartym piętrze zamku, kierował się sobie tylko znanym doborem zbiorów, ale dzięki temu mamy przekrój wielu ciekawych tematów związanych z Czochą i jej mieszkańcami.

Przejdźmy jednak do zawartości skrytki związanej z zawartością techniczną. Bezsprzecznie ciekawostką jest złożenie do skrytki słupowłazów. Ciekawostką, bo na zamku nie było żadnych słupów, na które ktoś na tych słupowłazach miałby wchodzić. Może służyły komuś do pracy na jakichś słupach w okolicach zamku, a może...

Ciekawym znaleziskiem w skrytce był karabin Flobert Gezogen Oryginal-Geco-Karabinen Mod. 1925 kal. 6 mm. Niestety, zgodnie z polskim prawem, został zdeponowany w Komisariacie Policji w Leśnej. Należało sprawdzić, czy nie był użyty do czynów przestępczych. Karabin do dziś znajduje się w przepastnych magazynach Wydziału Postępowań Administracyjnych KWP Wrocław. Trzeba jednak mieć nadzieję, że kiedyś wróci on do zamku jako ważny element jego historii.

Kolejnym znaleziskiem z grupy sprzętu technicznego są silniki firmy Siemens, pompa czterostopniowa firmy Siemens, radio firmy Telefunken z lat 30. XX wieku. Te znaleziska zapewne jeszcze nie podgrzewają atmosfery w temacie skarbów zamku Czocha. Jednak to, co może i powinno podgrzać atmosferę tajemniczości, to dwie rzeczy pozostawione na sam koniec tego artykułu.

Od samego początku, od kiedy zbiór ujrzał światło dzienne, przedmiot, który był wielce ciekawy, to ten noszący nazwę „Pionier" firmy Magirus wz. 16. Tym przedmiotem jest aparat tlenowy. Pytanie – do czego wykorzystywany był on na zamku Czocha? Czy, jakby to chcieli jedni, do gaszenia pożaru przez właściciela zamku (dosłowne słowa tychże), czy może do prac w podziemiach zamku, których jest przeszło 5 tys. m²? A może służył on jeszcze innym celom? Za faktem wykorzystywania go w podziemiach świadczyć może jeszcze jedno urządzenie spoczywające na zamku. Tym urządzeniem jest system chłodzący firmy „Autofrigor", produkowany przez firmę Escher--Wyss &Co w Zurychu, który według opisu firmy miał służyć także do „otrzymywania cudownie czystego i wolnego od bakterii suchego powietrza", a samo urządzenie mogło być używane do chłodzenia pomieszczeń. Czy więc aparat tlenowy „Pionier" nie współpracował z urządzeniem „Autofrigor"? Czy te urządzenia spotkały się na zamku Czocha przypadkowo? >>>

Aparat tlenowy „Pionier" wz. 16 firmy Magirus. Butla tlenowa z widoczną puncą Cesarstwa Niemieckiego. Instrukcja obsługi aparatu tlenowego.

Karabin Flobert został przekazany do Komisariatu Policji w Leśnej.

Część lufy karabinku z widoczna dokładną nazwą.

Część zamka karabinka.

Urządzenie do odbioru fal krótkich. Znalezisko wydobyte ze skrytki zamkowej.

fot. P. Kucznir

C. D. Magirus A.-G. Ulm a. Donau.

Gebrauchs-Vorschrift zum Magirus-Sauerstoff-Apparat „Pionier" Modell

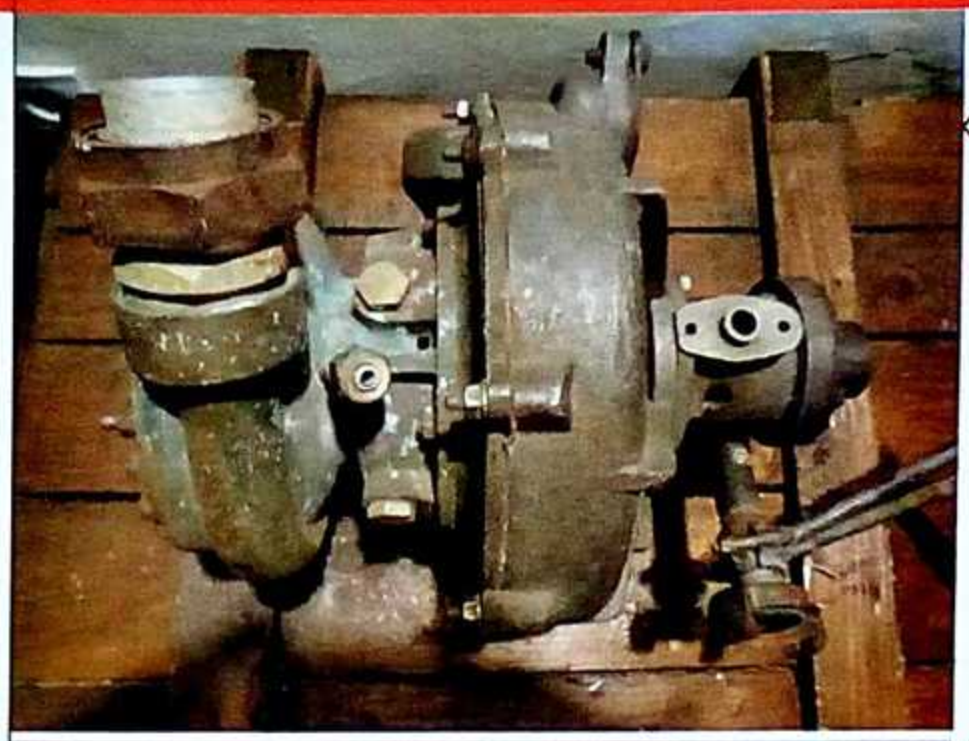

Urządzenie firmy Walter (pompa) już po zabiegach konserwacyjnych. Na szczycie korpusu widnieją oznaczenia firmy Walter.

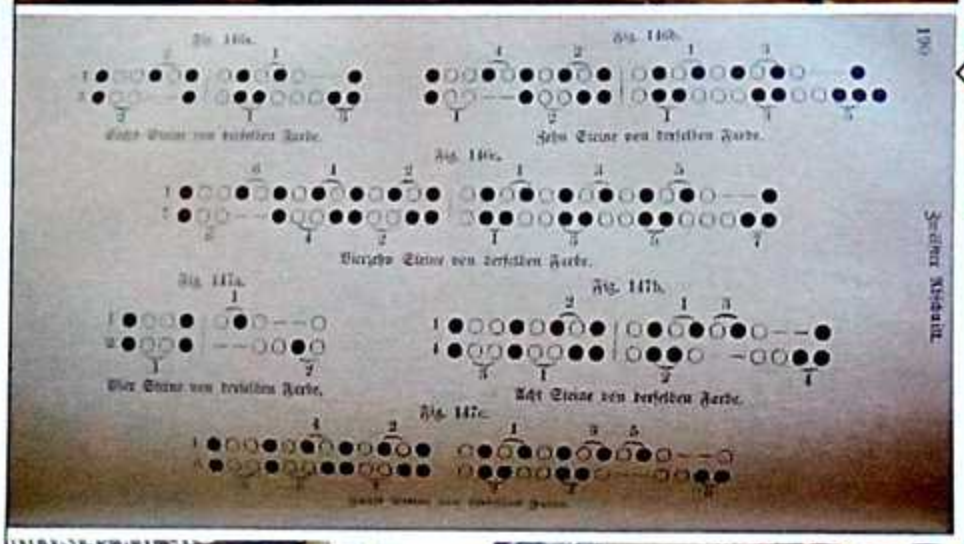

Jedna ze stron książki o matematycznych zagadkach.

Radio Telefunken, które przeleżało 70 lat w bardzo dobrym stanie. Na zdjęciu widok odbiornika przed renowacją.

Słupowłazy również dotrwały do dzisiaj, ukryte w skrytce zamkowej. Do czego mogły one służyć na zamku?

>>> Pytania, pytania, pytania. Pozostawiając aparat tlenowy „Pionier" przejdźmy do drugiego ciekawego przedmiotu złożonego w tajnym pokoju na czwartym piętrze zamku. Tym urządzeniem jest twór firmy Helmuta Waltera, urodzonego w 1900 roku 26 kwietnia, a zmarłego 16 grudnia 1980 roku. Był on niemieckim inżynierem, twórcą wielu ciekawych rozwiązań technicznych m.in. silnika rakietowego do samolotu Me 163.

I choć urządzenie leżało od roku na wystawie „Skarbów Zamku Czocha" to nie wzbudziło ono w nikim sensacji. Dopiero w październiku 2017 roku zostało ono przez jednych okrzyknięte elementem silnika rakietowego, a przez innych czymś, co nie jest... elementem składowym silnika rakietowego.

Za tym, że jest to produkt firmy „Walter" świadczy punca widoczna na korpusie urządzenia. Jest więc to bezdyskusyjne. Zapewne czas pozwoli na wyjaśnienie tej zagadki ostatniego z przedmiotów skrytki czwartego piętra. Jednak już dziś trzeba sobie zadać pytanie. Skąd się wzięło to urządzenie w tej skrytce? Czy przynieśli je inżynierowie pracujący w pobliskiej Leśnej i Baworowej? Czy może wytwarzano je w podziemiach zamku Czocha? Sprawa na chwilę obecną jest otwarta.

Miejmy więc nadzieję, że wkrótce to nastąpi i na odkrycie z 2015 roku padnie światło prawdy. Do tego czasu trzeba jednak przyznać, że przedmioty z tajnego pomieszczenia w zamku Czocha przyniosły wiele odpowiedzi na pytania związane z zamkiem Czocha. Ale też powstało mnóstwo kolejnych pytań. Czy nastąpią kolejne odkrycia? Na pewno tak. <

Piotr Kucznir
Wiceprezes Łużyckiego Towarzystwa Historycznego Zamku Czocha, regionalista, rekonstruktor epok historycznych, miłośnik historii regionu Górnych Łużyc i Dolnego Śląska. Autor m.in. książki o zamku Czocha pt. „Tajny Zamek Czocha". Doświadczenie zdobyte w wojsku wykorzystuje w tropieniu zagadek czasów minionych. Marzy mu się odkrycie zagadek „Ukrytych na widoku".

fot. P. Kucznir

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

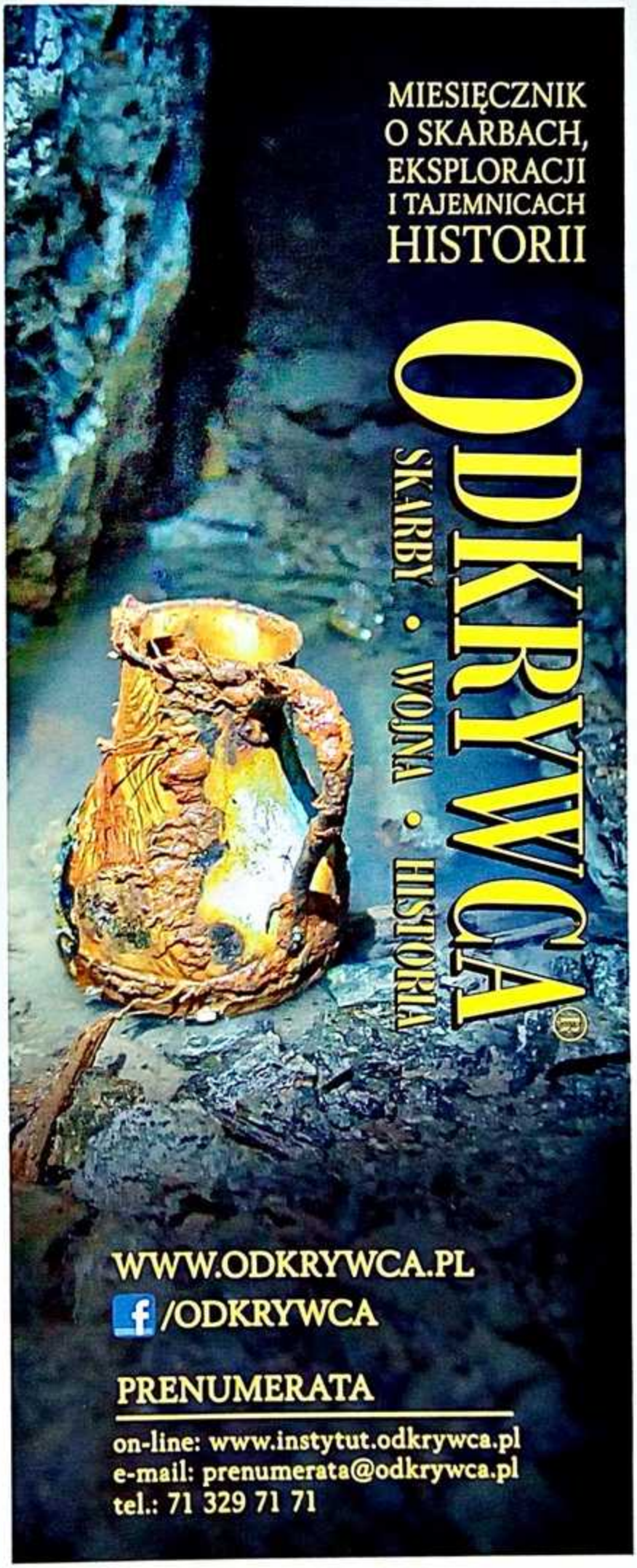

Ocalone pamiątki, zachowana pamięć

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu ogłasza wielką zbiórkę pamiątek związanych z pobytem żołnierzy w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej. Ponieważ los jeńca był udziałem obywateli różnych krajów i osób wielu narodowości, dlatego naszej akcji nie ograniczamy do żołnierzy polskich.

Zbiórka odbędzie się pod hasłem *Ocalone pamiątki, zachowana pamięć*, a jej celem jest uchronienie od zapomnienia jenieckich rzeczy i ich dziejów, a wraz z nimi historii ludzi, z którymi były związane.

Muzeum czeka na wszelkiego rodzaju artefakty – przedmioty używane bądź wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie, ubrania itp. – niezależnie od stanu ich zachowania.

Wszystkie dary wzbogacą zbiory Muzeum. Zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane. Dzięki temu staną się źródłem wiedzy i nośnikiem pamięci o jeńcach wojennych i internowanych, a tym samym o coraz bardziej odległej historii.

Osoby zainteresowane przekazaniem pamiątek do Muzeum, proszone są o kontakt osobisty, telefoniczny, listowny lub mailowy. Każda propozycja zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek, a także z ich zapisem cyfrowym.

Za zbiórkę odpowiedzialny jest Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, ul. Muzealna 4, 48–316 Łambinowice, tel./fax +48 77 434 34 75

zbiorkapamiatek@cmjw.pl **www.cmjw.pl**

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu
45–017 Opole, ul. Minorytów 3, tel./fax +48 77 453 78 72, 77 453 92 16

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Marszałka Województwa Opolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

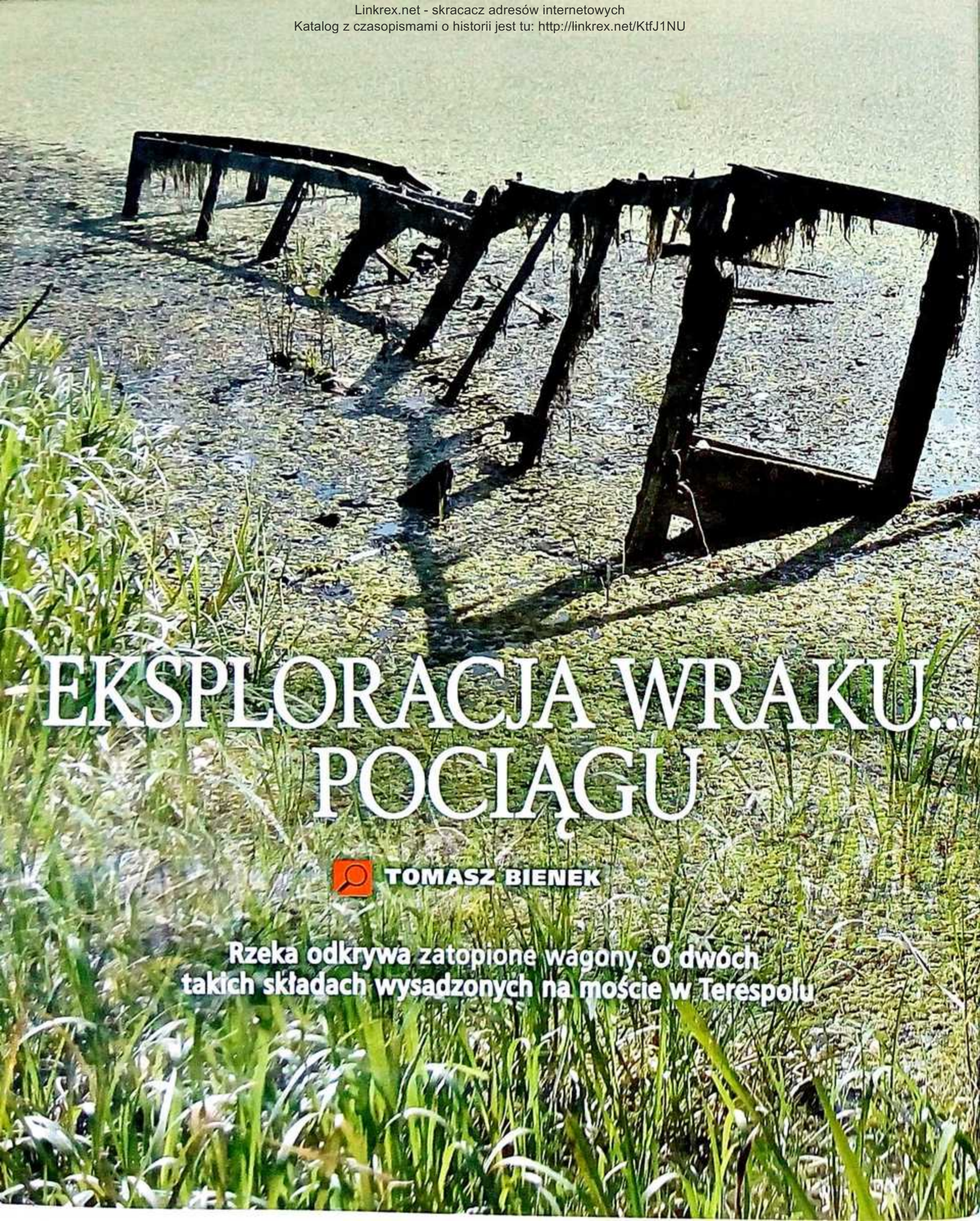

EKSPLORACJA WRAKU... POCIĄGU

TOMASZ BIENEK

Rzeka odkrywa zatopione wagony. O dwóch takich składach wysadzonych na moście w Terespolu

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

fot. Tomasz Bienek

Graniczne moczary zaraz za miastem odsłaniają wrak krytego wagonu towarowego. Reszta składu wciąż tkwi głęboko w bagnie.

O ile poszukiwania wraków samolotów lub czołgów zdarzają się dość często, o tyle pociągi stanowią rzadkie przypadki. Dwa z takich szalenie interesujących wraków leżą obok siebie na dnie granicznego Bugu na wysokości Terespola. Ich eksploracją zajmują się pasjonaci z miejscowego Koła Miłośników Historii i Fortyfikacji.

Wysadzenie pociągów

W lipcu 1944 roku Armia Czerwona weszła do Terespola. Miasto zdobyto bez większych walk. Doszło jednak do wysadzenia w powietrze dwóch mostów kolejowych na Bugu, co ciekawe – w momencie eksplozji na obu znajdowały się pociągi. Do tej pory nie wiadomo, czy były to radzieckie transporty jadące już na zachód, czy celowo pozostawione przez Niemców składy. Zdarzenie to nie było nigdy szczególnie eksponowane w historii, a jego kulisy nadal pozostają mało znane. Przez cały okres 1945–1991, gdy to specyficzne pobojowisko znajdowało się na granicy Polski i ZSRR, jakakolwiek eksploracja w ścisłej strefie granicznej nie była możliwa. Obecnie, ze względu na styk wschodniej granicy Unii Europejskiej oraz Białorusi, rejon zalegania wraków także stanowi teren zamknięty. Zatem nadal trudno znaleźć odpowiedzi na wiele pytań dotyczących tego incydentu.

– Tutaj o tym zdarzeniu pamiętają wszyscy mieszkańcy – mówi Andrzej Lipowiecki, jeden z organizatorów Koła Miłośników Historii i Fortyfikacji w Terespolu. – Niemcy zainstalowali w przęsłach mostów pułapki, być może były to miny z zapalnikami czasowymi, a może ładunki odpalane zdalnie. Mosty wysadzono, gdy na obu znajdowały się pociągi, które na pewno zmierzały na Zachód, bo ich parowozy w momencie wybuchów znajdowały się już po zachodniej stronie rzeki. Zresztą obie te lokomotywy podniesiono w późniejszym czasie, natomiast w Bugu i przyległej do niego odnodze, obecnie zabagnionej, zostały wraki wagonów.

Poszukiwania i wydobycie

Grząski grunt szybko pochłonął wagony, a nurt rzeki przez całe dekady skrywał stalowe konstrukcje. W ostatnich latach, gdy ze względu na malejący poziom wody w rzece wraki zaczęły się powoli odsłaniać, pasjonaci militariów i kolejnictwa z Terespola zaczęli myśleć o wydobyciu części wysadzonych składów. Okazją do przeprowadzenia akcji były prace renowacyjne na międzynarodowym szlaku kolejowym wiodącym przez Terespol na Wschód.

– W 2014 roku wykonano kompleksowy remont granicznego mostu na Bugu – relacjonuje Jerzy Czernik z Koła Miłośników Historii i Fortyfikacji w Terespolu. – W przedsięwzięciu tym brał udział ciężki sprzęt, więc korzystając z pomocy wojska i kolei udało nam się przy okazji tych prac wydobyć i przenieść do muzeum w terespolskiej Prochowni elementy pociągów. Pozyskaliśmy kompletną oś – być może od tendra parowozu – oraz maźnice kół i inne elementy konstrukcji wagonów. Marzyło nam się wydobycie przynajmniej jednego wagonu w całości. Jednak wraki są tak głęboko zatopione w grząskim gruncie, że zadaniu temu nie podołał nawet ciężki kolejowy dźwig. Ponadto wysadzone w powietrze wagony i potężne stalowe fragmenty mostów tworzą pod wodą plątaninę elementów. Poskręcane ze sobą podwozia, dosłownie zmieszane z kawałkami przęseł, są niemożliwe do podniesienia bez specjalistycznych prac. Musiałyby one polegać na cięciu skłębionych konstrukcji, w dodatku po uprzednim osuszeniu bagna. Być może jednak w przyszłości poziom wody w rzece zmaleje na tyle, >>>

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

>>> że odsłonią się dalsze, niewidoczne obecnie, ale mniejsze obiekty. Może wtedy uda się wydobyć je bez tak bardzo zaawansowanych robót inżynieryjnych.

Składy wąskotorowe

Ocalona przez pasjonatów z Terespola kolejowa oś jest z pewnością niemiecka. Nosi sygnatury kontroli technicznej z 1941 roku. Masywna oś jest lekko wygięta, co świadczy o sile eksplozji, która zniszczyła i most, i pociąg. Wśród eksponowanych w carskiej prochowni kolejowych reliktów, które udało się wydobyć z grzęzawiska, znajdują się też zastanawiające fragmenty wagonów wąskotorowych. Zapewne były one załadowane na normalnotorowe platformy. Sama obecność wagonów wąskotorówki w tym rejonie nie jest niczym dziwnym. Jej sieć łączyła system carskich fortyfikacji twierdzy brzeskiej, w skład którego wchodziło przedmoście terespolskie. Wąskie tory eksploatowali kolejni gospodarze twierdzy – armia niemiecka, która zajęła forty bez walki w 1915, a potem Wojsko Polskie, które wykorzystywało liczne carskie obiekty do września 1939 roku. Jednak obecność wąskotorowych wagonów załadowanych do pociągu, który wysadzono na moście, przypomina też o innej teorii na temat całego zdarzenia.

Przechowywane w terespolskiej Prochowni mniejsze elementy wagonów wydobyte podczas akcji – na zdjęciu jeden z jej inicjatorów, Przemysław Wróblewski.

Solidny słup przy terespolskiej Prochowni przypomina, kto był tutaj gospodarzem w latach międzywojennych.

Powody wysadzenia

– Niemcy celowo wysadzili most z pociągami na torach, zanim weszli Rosjanie – twierdzi Zbigniew Biegajło, który w owym czasie miał 9 lat. – Pamiętam, że jako chłopiec chodziłem w okolice mostu z kolegami. Niemieccy saperzy na na podwieszonych pod przęsłami deskach montowali potężne ładunki. Wysadzone razem z mostem pociągi miały utrudnić i opóźnić w czasie jego odbudowę, uniemożliwić podniesienie jego konstrukcji i zatarasować koryto rzeki. Były to zresztą przypadkowe składy, złożone na szybko ze znalezionych na stacji w Brześciu wagonów, które i tak wpadłyby w ręce Rosjan. To nie była pułapka, ale celowa robota.

Co zapamiętali mieszkańcy?

Niestety, nikt z mieszkańców Terespola nie widział samego momentu eksplozji, trudno więc rozsądzić, jak było naprawdę. Trudno też dokładnie określić, jak długie były wysadzone składy, ale biorąc pod uwagę znaczną rozpiętość mostów nad szeroką rzeką, mogły liczyć od kilkunastu do kilkudziesięciu wagonów. Być może część wraków, zalegająca w płytszej wodzie została pocięta na złom w latach powojennych. Pan Zbigniew, jak i inni starsi mieszkańcy z Terespola, pamiętają tysiące paczek zapałek rozrzuconych po okolicy – jeden z wagonów załadowany był tym towarem. Przez kilka dni po przejściu frontu setki pudełek pływały w przybrzeżnych płyciznach i jeziorkach tworzonych przez nurt rzeki. Niektórzy z mieszkańców próbowali je zbierać, ale nawet po wysuszeniu podobno paliły się nieszczególnie. Inny wagon musiał przewozić niemieckie granaty trzonkowe.

– Leżały wszędzie, nurt rzeki porwał wiele z nich i osadził na fragmentach wysadzonych konstrukcji wystających z wody – dodaje Zbigniew Biegajło.

Wysadzony most stalowy odbudowano dopiero w latach powojennych. Kilka miesięcy po przejściu frontu udało się też uruchomić oba parowozy z wysadzonych składów. Jeden z nich na nasyp wciągać musiały trzy inne lokomotywy. Zaraz po zajęciu Terespola radzieccy saperzy obok zniszczonych mostów wybudowali prowizoryczny most drewniany, którego pozostałości w postaci drewnianych pali wbitych w dno także dostrzec można w pobliżu obecnego mostu kolejowego.

Tomasz Bienek
Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914–1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

1 2 Splątane części wagonów i konstrukcji mostu wciąż zalegają w moczarach.

3 Kolejowe koło wyłaniające się z nadbużańskiego grzęzawiska.

4 Prochownia w Terespolu skrywa w sobie wspaniałe i warte obejrzenia relikty przeszłości: Jerzy Czernik prezentuje niemiecką oś kolejową wydobytą z Bugu.

5 Andrzej Lipowiecki z Koła Miłośników Historii i Fortyfikacji przy pozostałościach carskiego jeszcze mostu; zwracają uwagę odlane z żeliwa płyty, którymi obłożony jest filar.

fot. Tomasz Bienek

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

CASSINO

OLAF POPKIEWICZ

Panorama masywu widziana z Cassino.

Autor w battledressie, który już raz był w tych okolicach... 73 lata temu.

Żołnierze 2. Korpusu dorobili się miana „turystów", którzy według zawistnych towarzyszy z innych sojuszniczych korpusów miast walczyć, „zwiedzali" tylko kolejne egzotyczne kraje. Aż do Cassino...

Tej nocy w Campobasso chyba nikt nie zmrużył oka. Wszystko sparaliżowane było wyczekiwaniem, kiedy na północy ciemny nieboskłon co chwila rozjarzał się seriami błysków podobnych do monstrualnych sztucznych ogni. Po chwili patrzenia w tym kierunku wzrok zaczynał płatać figle, zalewany falami świetlnych powidoków, tak jakby obserwowało się festiwal spawaczy.

Mężczyzna w oliwkowym battledressie z wyszytym srebrną nicią „Polish Parade Theatre" wpatrywał się w to widowisko tak długo, jak tylko był w stanie. Kiedy zamknął powieki, nie mógł pozbyć się uczucia, jakby setki wyimaginowanych ziarenek piasku łaskotało jego gałki oczne. Miał na imię Feliks i podobnie jak ci, którzy ginęli na odległych, skalnych graniach środkowej Italii on też nie mógł wyspać się tej nocy. Były ważniejsze rzeczy do zrobienia. Poszedł obudzić kompozytora Fredka i w ten właśnie sposób czerwone maki zakwitły po raz pierwszy nocą z 17 na 18 maja 1944 roku.

W trakcie trwania drugiego, decydującego natarcia 2. Korpusu Polskiego pod Monte Cassino, ułożone zostały dwie pierwsze zwrotki piosenki[1], która weszła na stałe do repertuaru polskich pieśni wojskowych. Napisał ją człowiek, którego specjalnością były popularne w dwudziestoleciu międzywojennym rewie, czyli widowiska kabaretowe. Nazywał się Feliks Konarski, a piosenka to naturalnie „Czerwone maki". Któż jej nie zna? Pozwólcie, że jej strofy staną się swoistym moderatio mojej opowieści.

Czy widzisz te grudy na szczycie?
Tam wróg twój się kryje jak szczur!
Musicie, musicie, musicie!
Za kark wziąć i strącić go z chmur!

Cassino to niewielka mieścina, usadowiona u zbiegu rzek Rapido i Liri, przy drodze krajowej nr 6, będącej główną arterią komunikacyjną

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Katalog z czasopismami o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

prowadzącą do Wiecznego Miasta. Tutaj Półwysep Apeniński ma jedynie 131 kilometrów szerokości, co czyni to miejsce najwęższym gardłem Włoskiego Buta.

Tam właśnie Feldmarszałek Albert Kesselring, dowodzący grupą Armii C, podjął próbę zatrzymania Aliantów, którzy 9 września 1943 roku, desantując swe siły w Salerno, nieuchronnie sunęli w stronę stolicy Włoch. Teren był naturalnie przystosowany do obrony. Tworzyły go strome łańcuchy górskie, wznoszące się nad dolinami rzek Liri, Rapido i Gargiliano niczym potężne bastiony. Linia obrony zyskała miano linii Gustawa i opierała się głównie na imponujących naturalnych przeszkodach terenowych.

Na początku 1944 roku sprzymierzeni zajęli pozycje wyjściowe do ataku, który przełamać miał obronę niemiecką na linii Gustawa, obsadzoną przez jednostki niemieckiej 10. Armii. Plan był prosty. 15. Grupa Armii miała przystąpić z marszu do natarcia, wykonanego siłami wszystkich czterech korpusów 5. Armii. Frontalny atak miał być wsparty gigantycznym desantem na niemieckich tyłach pod Anzio- Nettuno, który w założeniu odciąć miał drogę odwrotu wycofującemu się nieprzyjacielowi. Machina wojenna ruszyła 17 stycznia 1944 roku. Wszystko poszło nie tak, choć oficjalna propaganda aliancka utrzymywała potem, że sprzymierzeni osiągnęli swe cele. Najbardziej wstrząsająca była jatka, jaką niemieccy grenadierzy pancerni zgotowali teksańskiej 36. Dywizji Piechoty, dziesiątkując jej dwa pułki nad rzeką Rapido. Szczytem głupoty i zachowawczości była operacja pod Anzio, która angażując dziesiątki tysięcy żołnierzy, utworzyła Aliantom nic nie warty przyczółek blokowany przez Niemców przez następne cztery miesiące. Fale >>>

Odpoczynek w Gardzieli przy „Sułtanie".

Ząb z „Sułtana" odnaleziony nieopodal wraku.

fot. O. Popkiewicz

>>> kolejnych natarć sprzymierzonych wydawały się lizać jedynie brzegi linii Gustawa, rozbijając się o nią jak o skałę, w której rzeczywiście była ukształtowana. Najdalej doszła amerykańska 34. Dywizja Piechoty, która 24 lutego 1944 roku, idąc „na krechę" od doliny rzeki Gari, zajęła górujące nad drogą na Rzym wzgórze 593, aby je w chwilę później stracić w wyniku kontruderzenia 1. Dywizji Strzelców Spadochronowych, które przetrzebiło szeregi „Czerwonych byków"[2] i całkowicie wyparło Amerykanów z masywu Monte Cassino.

Ciężkie walki trwały o Cassino położone na południowym przedpolu linii Gustawa. Jeśli spojrzeć na zdjęcia z epoki, to w efekcie zmagań zbrojnych wysokość domostw w tym miasteczku została zredukowana do poziomu przyziemi. W czasie bombardowań niemieccy żołnierze chronili się w jaskiniach na północnym skraju miasta, ukrytych w stromych zboczach masywu. Jeden „StuG" zamaskowany za bryłą hotelu Continental był w stanie utrzymywać na dystans alianckie jednostki pancerne, dla których główna promenada Cassino – via Cassilina, stała się swoistą drogą do piekła.

Najbardziej w wyniku tych przepychanek ucierpiał klasztor. Jego zagłada następowała w takt niemieckich śpiewek propagandowych o „ratowaniu dóbr kultury" i w łopocie alianckich ulotek „błagających" o opuszczenie tej perły architektury z VI wieku. Pastwilo się nad nim kilkaset alianckich samolotów bombowych, które 14 lutego nadleciały w kilku falach, by dokładnie nad opactwem wyładować ze swych luków 576 ton bomb.

Brytyjski pike sterczący jako podtrzymanie przewodów na ścianie Domku Doktora.

Alianci wyżyli się na klasztorze ze złości na mierne efekty w zdobywaniu położonej na północ od Monte Cassino linii Gustawa. Jeśli nawet wcześniej Niemcy nie stacjonowali w jego murach, to po alianckich ekscesach poczuli się zwolnieni z wcześniejszych przyrzeczeń i włączyli wzgórze klasztorne do swego kompleksu umocnień, mogąc z niego lepiej kontrolować leżące u podnóża morze ruin zwane dawniej Cassino.

I poszli szaleni, zażarci,
I poszli zabijać i mścić,
I poszli jak zawsze uparci,
Jak zawsze za honor się bić

Kiedy nastała wiosna, a całym dorobkiem sił sprzymierzonych z pięciomiesięcznych walk było zamienienie okolic linii Gustawa w zgliszcza, w których nadzwyczaj dobrze czuli się niemieccy obrońcy, przyszła pora

fot. O. Popkiewicz

na podjęcie jakichś bardziej zdecydowanych kroków. Nie trzeba było być jasnowidzem żeby spodziewać się majowego „przesilenia" na froncie włoskim. Ktoś musiał znów położyć głowę pod morderczo skuteczne umocnienia linii, która stała się największym koszmarem aliantów w Europie. Mimo wcześniejszych zapewnień danych Kazimierzowi Sosnkowskiemu, Wodza Naczelnego Polskich Sił Zbrojnych, przez dowództwo 8. Armii Brytyjskiej, kiedy to na ich mocy 2. Korpus Polski wylądował w bezpiecznej odległości od pierwszej linii frontu nad rzeką Sangro, pojawiły się nowe koncepcje wykorzystania polskiego kontyngentu. Być może pozostałyby one w sferze planów, gdyby nie entuzjastyczna na nie reakcja samego dowódcy korpusu, generała Władysława Andersa. Podobno na podjęciu tej decyzji zaważyły ambicje legendarnego dowódcy. Od momentu utworzenia 2. Korpusu, rozkazem Naczelnego Wodza 21 lipca 1943 roku, jego żołnierze zwędrowali kawał świata, przenosząc się z Iraku do Palestyny, stamtąd do Egiptu a potem do Włoch, przez co w szeregach 8. Armii Brytyjskiej dorobili się niezbyt przychylnego miana „turystów", którzy według zawistnych towarzyszy z innych sojuszniczych korpusów miast walczyć, „zwiedzali" tylko kolejne egzotyczne kraje. Nadarzyła się okazja, aby zetrzeć ten ironiczny uśmieszek z twarzy synów Albionu. Tylko jakim kosztem? Linia Gustawa pod Monte Cassino w krótkim czasie stała się cmentarzyskiem dla dziesiątek tysięcy alianckich żołnierzy. Niemcy za pomocą granatów propagandowych, radośnie podtrzymywali psychozę beznadziejności zadania; „Polacy! Idziecie do Cassino!" – oznajmiały sugestywne ulotki, przedstawiające szkielet przystrojony w malownicze strzępy BD 37. Nie wyglądało to najlepiej. Jeśli w styczniu 1944 roku linia Gustawa posiadała jakieś słabe punkty, to w maju zostały one już definitywnie usunięte. Wszystkie niedociągnięcia taktyczne projektantów umocnień zweryfikowali nieszczęśnicy, którzy przez ostatnich kilka miesięcy ciskali się w bezskutecznym usiłowaniu ich sforsowania.

Monte Cassino – nowe spojrzenie.
Glyn Harper, John Tonkin-Covell
Autorzy na samym początku zapowiadają, że chodzi im o nową analizę bitwy o Monte Cassino oraz marsz na Rzym, którego była częścią, „przez pryzmat osobowości dowódców". Niewątpliwą zaletą jest przedstawienie drugiej strony, nie jako krwawych i fanatycznych zbrodniarzy, tylko jako ludzi rozsądnie planujących obronę.
Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Niemcy mieli dużo czasu, aby zaryglować niemal każdy metr terenu polami ostrzału swoich kaemów, skorzystali ze sposobności, by zgrać załogi moździerzy z obserwatorami artyleryjskimi, którzy niemal z zamkniętymi oczami podawali im koordynaty nacierających. Pojawiły się nowe, bardziej perfidne sposoby minowania podejść pod ważniejsze pozycje, niecofające się przed żadną sztuczką, mogąca uprzykrzyć życie Aliantów. Nieprzyjaciel rozwinął interesującą taktykę przeciwstoku, w myśl >>>

Panorama z widocznym klasztorem i miasteczkiem Cassino widziana z Domku Doktora.

fot. O. Popkiewicz

>>> której linie obrony znajdowały się nie na szczytach wzniesień, tylko na skłonach przeciwnych do kierunku natarć wroga. Takie usytuowanie pozycji uniemożliwiało ich odpowiednie rozpoznanie i co za tym idzie skuteczny ostrzał za pomocą artylerii. Biedacy, którzy wdrapali się już na wzniesienie, nie zdawali sobie sprawy, że kiedy tylko ich głowy wychyną na jego przeciwną stronę, ujrzą lufy karabinów maszynowych i moździerzy celujące w nich z zabójczo małego dystansu. Cały masyw Monte Cassino zbudowany jest ze skał. W praktyce wyglądało to wtedy jak kamienista pustynia, upstrzona gdzieniegdzie ciernistymi krzakami. Mina lub granat, eksplodujące na powierzchni gruntu, podnosiły deszcz kamieni, który raził z większą skutecznością niż odłamki. Sylwetki atakujących na tym

Gaszenie ostatnich ognisk oporu na wzgórzu 593.

Oprócz cierni, w krzakach wciąż czają się concertiny.

odkrytym terenie stanowiły łatwe cele dla obsług karabinów maszynowych, moździerzy, snajperów jak również dla pojedynczych strzelców, dobrze okopanych w skalnych schronach, przypominających bezładne kupy kamieni aż do momentu, kiedy otwierały zabójczy ogień. Jeśli dodamy do tego obrazu deprymujące sterty oblazłych przez muchy bezkształtnych wełnianych i płóciennych worków, wypełnionych cuchnącą, galaretowatą substancją, które jeszcze niedawno szczyciły się być istotami rozumnymi, ujrzymy obraz piekła, w które przyszło zapuścić się żołnierzom 2. Korpusu.

Czerwone maki na Monte Cassino,
Zamiast rosy piły polską krew…

w stanie przetrwać te sądne dni dla górskiej flory i dlatego niezagrożone przez inne gatunki roślin rozpleniły się po wszystkich zboczach, stając się symbolem polskiego zwycięstwa.

Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz od śmierci silniejszy był gniew!

Koncepcja Andersa wyznaczała marszrutę pierwszego natarcia sił polskich, w oparciu o szlak, który krwawo przebyła 36. Dywizja Amerykańska. Chodziło o to, aby rozwinąć siły składające się z 3 DSK i 5 KDP na wschód od wzgórza klasztornego i opanować dominanty terenowe, takie jak Widmo i wzgórza 593 i 575. Zajęcie tych wzniesień powodowało odcięcie nieprzyjacielskich stanowisk wsparcia ogniowego, zlokalizowanych na farmie Mass Albaneta, położonej pomiędzy 593 a 575. Samo wzgórze klasztorne jako osamotnione gniazdo oporu, wysunięte ponad zbieg rzek Liri i Rapido, bez wsparcia z wyżej wymienionych wzniesień skazane było z góry na przegraną. Nocą z 11 na 12 maja 1944 roku rozpoczęło się pracowite wspinanie jednostek. Szli objuczeni amunicją i granatami. Dyslokacja odbywała się często kilkadziesiąt metrów od niemieckich pozycji. Tego natarcia nie dało się ukryć, a więc nie dało się mówić o elemencie zaskoczenia. Najpierw przez godzinę ponad tysiąc alianckich dział macało ogniem po wzgórzach. Potem do ataku ruszyła piechota. I zaczęła się jatka. 2. batalion 1. Brygady Strzelców Karpackich uderzył na wzgórze 593. 1. batalion wszedł w Gardziel, by przetrzebiony dołączyć do drugiego. 13. i 15. batalionu strzelców z 5. Wileńskiej Brygady Piechoty poszły na Widmo. Walczyli mężnie, wiążąc wroga w dwudniowym boju, by wykrwawieni spłynąć na pozycje wyjściowe między 12 a 13 maja. Straty sięgały 40–70% stanów. Mimo deklaracji generała Andersa o gotowości do wykonania kolejnego uderzenia, skłoniono go do przyjęcia koncepcji przeprowadzenia w dniach 13–16 maja działań lokalnych i rozpoznawczych w rejonie natarcia, które planowano powtórzyć 17 maja.

Dogrywka zaczęła się już wieczorem 16 maja, kiedy to 16. lwowski batalion strzelców brawurowym szturmem zajął Widmo, którego nie oddano już Niemcom. 4. batalion 2. brygady 17 maja zaatakował wzgórze 593, zajmując je ostatecznie wieczorem. Wobec gwałtownego ataku sił polskich, Niemcy zmuszeni zostali do odwrotu z Albanety, pozostawiając w klasztorze swych odciętych towarzyszy. Obrońcy Monte Cassino opuścili swe stanowiska pod osłoną ciemności w nocy z 17 na 18 maja. Około 10 rano 18 maja 1944 roku patrol 12. Pułku Ułanów Podolskich zatknął swój proporczyk na gruzach zmasakrowanej świątyni.

Demoniczne ruiny Mass Albanety.

fot. O. Popkiewicz

Kolejne alianckie natarcia poprzedzały coraz silniejsze przygotowania artyleryjskie, których kulminacją było zbombardowanie Monte Cassino. Te dziesiątki tysięcy ton bomb i pocisków, eksplodujących dosłownie wszędzie, wymiotły cały masyw z roślinności. Jeśli przyjrzeć się fotografiom z epoki, zobaczymy sterty głazów, po których wspinają się atakujący, gdzieniegdzie sterczą tylko zwęglone kikuty drzew. W maju 1944 roku na stokach masywu Monte Cassino rozpanoszyły się maki – jedyne chwasty, które były

Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni!
I tylko maki na Monte Cassino
Czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosną krwi

Ponad dwadzieścia cztery godziny w samochodzie. Dwa tysiące nastukanych kilometrów. Warto było. Mały hotelik La Pace ma balkony wychodzące prosto na panoramę góry klasztornej, górującej nad Cassino. Nie wytrzymuję. Postanawiam wspiąć się choćby kawałek >>>

>>> w stronę Rocca Janula, starej twierdzy, wyrastającej w połowie drogi do klasztoru. Jakież jest moje zdziwienie, kiedy moje próby wejścia na stoki masywu „od kuchni" kończą się niepowodzeniem. Gąszcz u podnóża jest tak wielki, że nie jestem w stanie przebić się przez te wszystkie splątane ciernie. Wracam więc z nosem spuszczonym na kwintę. Spędzam wieczór, wpatrując się z balkonu hotelowego w klasztor, rozświetlony promieniami zachodzącego słońca.

Ranek zastaje mnie już na wzgórzu 593. Uderza przede wszystkim ilość drzew i krzaków. Najpaskudniejsze są pędy jeżyn, które wydają się być cieniutkie i słabe jak sznureczki. Kiedy się już w nie zaplątacie, ujawniają swą prawdziwą naturę, wrednych i ciernistych prowokatorów wulgarnych odzywek. Przyroda, która porasta wszystko gęstym całunem, nijak ma się do archiwalnych zdjęć z polskiego epizodu bitwy o Monte Cassino. Ale chyba właśnie dlatego jest jeszcze sens tutaj kopać. Kopać to też szumnie powiedziane. Ziemia występuje tylko tam, gdzie akumuluje się woda z opadów – na skarpach dróg czy skalnych półkach. Poza tymi miejscami, pamiątki bitwy leżą na wierzchu, bądź zasypane kamieniami lub wbite między głazy. Z narzędzi najlepiej sprawdza się tutaj entrenching tool – brytyjska kopaczka z zestawu webbingu P37, czyli oporządzenia, jakie towarzyszyło naszym żołnierzom w zdobywaniu linii Gustawa. Nasz przewodnik Pino prowadzi mnie na zachodnią krawędź wzgórza, gdzie znajdują się jaskinie, w których ukrywali się w czasie bombardowań niemieccy spadochroniarze z 3. Pułku Spadochronowego. Oko przykuwa duża liczba szczątków ceremonialnych wieńców oraz flaszek, walających się u podnóża pomnika 3 DSK. Smutne to, ale jakże prawdziwe. Zaraz po śmieciach, pozostawionych przez niezbyt schludnych rodaków, najpopularniejszym znaleziskiem na owym zapleczu są... brytyjskie granaty moździerzowe. Kiedy zachęcony przez Pino wchodzę na czworakach do jaskini, mym oczom ukazują się spoczywające dosłownie na wierzchu naboje do Mausera, Garanda, Enfielda, Parabellum czy Thompsona. Leżą tu w zgodzie, wspominając czasy dawnej chwały. Jeśli bardziej sumiennie porozgarniać piach, można z niego wydłubać okucia od pasów, haki mundurowe, monety oraz zapalniki od granatów porzucone przez wszystkie armie, którym przyszło potykać się w 1944 roku o to wzgórze. Na samym szczycie 593, dosłownie na wierzchu, walają się łuski, a kiedy zapuścić się w kolczaste zarośla, od razu wychodzą odłamki, przeróżnych wielkości i kształtów oraz wszechobecna amunicja i ładowniki do Garanda – pamiątka po Czerwonych Bykach. Na mnie robi największe wrażenie fragment ammo boot-a, znaleziony na wschodnim zboczu wzgórza – widomy ślad po nacierających strzelcach

Przed Muzeum Bitwy w Cassino na amerykańskim M10.

fot. O. Popkiewicz

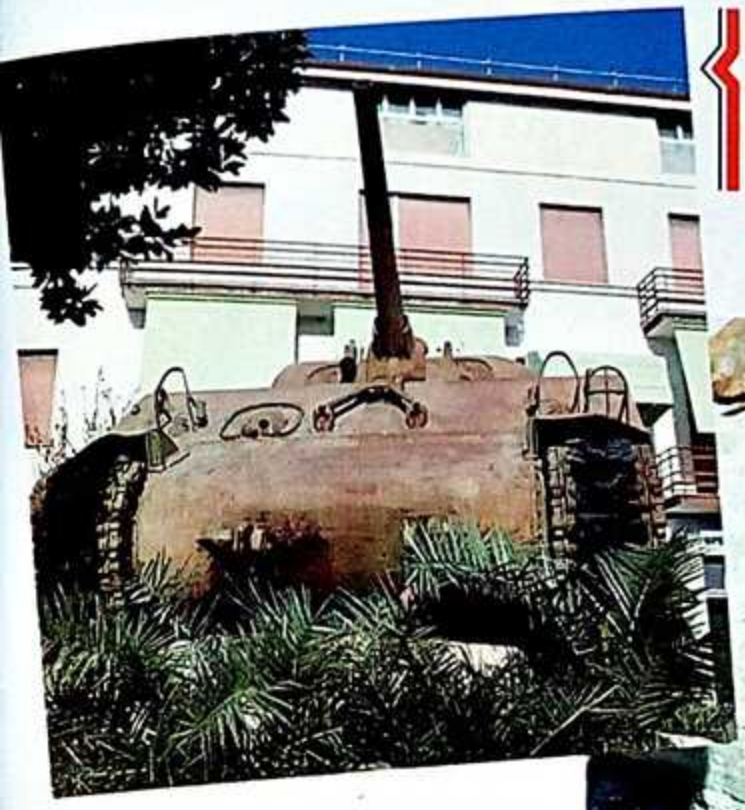

Sherman na rynku w Cassino. Uderzające jest, że w całym mieście nie znajdziecie budynku, który pamiętałby czasy wojny. Działania zbrojne całkowicie unicestwiły zabytkowa zabudowę Cassino.

z 2. batalionu 1. Brygady Strzelców Karpackich. Schodzimy do Domku Doktora. Każdy opisuje uprzejmość gospodyni tej włoskiej farmy, jednakże rozpisując się nad pyszną kawą, zapomina wspomnieć, że kabel energetyczny wisi tam na bagnecie od Enfielda, tzw. „gwoździu", a ogrodzenie zrobione jest z niemieckich zaczepów dla potykaczy. W letnie popołudnia staruszka przysiada sobie na ławie zrobionej z czegoś, co posiada sygnowania „USA" i „GMC". Schodzimy z okolic Głowy Węża w stronę nasady Gardzieli. Po drodze znajdujemy wklinowane w głazy niewybuchy niemieckich granatów moździerzowych miotanych przez Granatwerfer 34, najskuteczniejszej broni wroga w tej bitwie. W końcu schodzimy na „garb" w Gardzieli. Przed samym garbem stoi czołg pomnik, dowodzony przez ppor. Białeckiego z 4. plutonu 3. szwadronu 4. Pułku Pancernego „Skorpionów", który dokładnie tam wpadł na potrójną minę przeciwpancerną. Jej eksplozja nie tylko zerwała mu gąsienice, lecz także wywołała pożar, w którego płomieniach cała załoga spłonęła żywcem. Poniżej wraku natrafiam na głęboką spaleniznę, ciągnącą się jęzorem w stronę Drogi Polskich Saperów – tam spływała z wraku płonąca benzyna. W północnej skarpie Gardzieli tkwią dalej zęby z zerwanych na minach gąsienic „Sułtana"– bo tak nazywał się Sherman Białeckiego. A naprzeciwko wraku, na „garbie", ślady po niszczycielach czołgów. Granaty trzonkowe M24, granaty nasadkowe do Mausera, łuski 7, 92 x 57 mm, których charakterystycznie pokleszczone szyjki wskazują na działanie MG 42, czyli często pojawiającego się w prozie Wańkowicza „Szpandała". Między tym wszystkim Seba wydłubuje klamrę Luftwaffe – dowód, że porzucona została przez spadochroniarzy, którzy 12 maja starli się tam z naszymi czołgami. Nieopodal klamry wala się patelka z menażki niemieckiej z wydrapanym imieniem i nazwiskiem „Erich Bartnik"– potykał się tam z żołnierzami 2 Korpusu.

Widmo jest cholernie daleko od cmentarza i trochę się tam maszeruje. Powyżej ruin domku na Widmie zastajemy usypane z kamieni stanowisko, gdzie walają się okucia od skrzynki na rakiety do Panzerschrecka, kawałki wehrmachtowskiej maselniczki i przerdzewiały kocher na paliwo stałe, czyli popularny „Esbit". Leżą na wierzchu i – sądząc po stanie zachowania – od bardzo dawna. Przedzieramy się przez ciernie aż do ruin na Widmie. Tutaj szuka się na czworakach. Na kamieniach leżą granaty moździerzowe,

Na kamieniach walają się drobne pamiątki po obrońcach masywu.

Łuski walają się dosłownie wszędzie i aby je znaleźć, nie jest potrzebny wykrywacz metali.

„Odkrywca" opublikował obszerny cykl artykułów autorstwa Krzysztofa Piotrkowskiego o Monte Cassino w numerach od 10 (205) 2007 r. do 9 (116) 2008 r., z wyjątkiem numerów 3 (110) i 4 (111) 2008 r.

porzucone przez naszych poprzedników, a przed wyjściem z domku zieje prawdziwe wyrobisko po dawnych eksploratorach. Głównie wykopuje się tutaj porozrzucane pojemniki po margarynie „Bona" i drobne części od niemieckiej broni i oporządzenia. Widać, że strzelcy górscy posiedzieli sobie tutaj dłużej.

Odwiedziny na 575 robią wrażenie, głównie z tego powodu, że przychodzimy niedługo po pożarze lasu i okolica miejscami nabrała wyglądu z maja 1944 roku. Z bielą skał kontrastują poczerniałe kikuty drzew. W oddali majaczy bryła klasztoru i roztacza się świetny widok na Albanetę. Dopiero mając przed oczami ten widok, mogę zrozumieć, o co walczyli tutaj nasi żołnierze i jak wielkie było ich zwycięstwo. Widzę teraz dobitnie, że nie „łaskawości" niemieckich spadochroniarzy zawdzięczaliśmy ich wycofanie się z klasztoru. Zostali osaczeni i alternatywą dla odwrotu była pewna śmierć z ręki rozjuszonych Polaków. Woleli nie wchodzić nam więcej w drogę. Nie po tym, co przeżyliśmy na Gardzieli, 593 czy Widmie... <

Olaf Popkiewicz
Poszukiwacz, który został archeologiem, redaktor i prowadzący program Poszukiwacze Historii.

PRZYPISY

[1] A trzecia w drodze z Campobasso na pole bitwy.
[2] Straty w biorących udział w tej swoistej szarży batalionach 34 sięgały 80 % stanów osobowych.

fo.t. O. Popkiewicz

CZĘŚĆ 1

ZIDENTYFIKOWANO MOGIŁY JEŃCÓW Z 1864 R.

ANDRZEJ DOBKIEWICZ, SOBIESŁAW NOWOTNY

Ciekawego odkrycia dokonano w Świdnicy (Dolny Śląsk). Zidentyfikowano tu miejsce pochówku siedmiu duńskich żołnierzy, wziętych do niewoli podczas wojny prusko-duńskiej w 1864 roku.

Festung Schweidnitz

Świdnica to średniej wielkości miasto w centrum Dolnego Śląska, leżące na drodze między dwiema dużymi aglomeracjami – Wrocławiem i Wałbrzychem. W średniowieczu stolica ostatniego niezależnego księstwa śląskiego, drugie po Wrocławiu, najważniejsze i najbogatsze miasto Śląska. Konglomerat historii i kultury polskiej, czeskiej, austriackiej i niemieckiej. Po wojnach śląskich oczko w głowie króla Prus Fryderyka II Wielkiego, który stworzył tu potężną twierdzę na wiele lat wstrzymującą urbanistyczny i gospodarczy rozwój miasta. Jej likwidacja nastąpiła dopiero po ogłoszeniu miasta otwartym i stopniowym przekazywaniu władzom Świdnicy od 1862 roku najpierw zewnętrznego, a następnie wewnętrznego pierścienia umocnień. Mimo likwidacji twierdzy Świdnica pozostała miastem garnizonowym, w którym stacjonowały pokaźne siły wojskowe. Najdłużej z miastem związany był 10. Pułk Grenadierów im. Króla Fryderyka Wilhelma II (1. Śląski) – Grenadier-Regiments König Friedrich Wilhelm II (1. Schlesisches) No. 10., dla którego 7 sierpnia 1896 roku rozpoczęto budowę dużego, zachowanego do dziś kompleksu koszar. Drugą dużą jednostką, na stacjonowanie której wybrano Świdnicę, był 42. Pułk Artylerii Polowej (2. Śląski) – Feldartillerie-Regiments Nr. 42 (2. Schlesischen). W latach 1899–1900 wybudowano dla niego osobne koszary. Stacjonowanie dwóch dużych jednostek w mieście wymusiło powstanie na jego terenie także sporej liczby obiektów o charakterze pomocniczym.

Cmentarz wojenny

Pod koniec XVIII wieku tuż obok koszar 10. Pułku Grenadierów im. Króla Fryderyka Wilhelma II (1. Śląski), w widłach obecnych ulic Armii Krajowej i Kolejowej, założony został cmentarz wojskowy tzw. garnizonowy, na którym to właśnie znajdowały się odnalezione groby duńskich żołnierzy.

Dokładna data pierwszych pochówków na tej nekropolii nie jest znana. Niestety, zaginęła księga ewangelickich pochówków, która przechowywana była jeszcze po 1945 roku w archiwum parafii ewangelicko-augsburskiej w Świdnicy (Kościele Pokoju). Proces likwidacji cmentarza rozpoczął się po 1945 roku, na fali niszczenia śladów niemieckości, i trwał aż do lat 70. XX wieku (sic!). Odbywało się to z ewidentnym naruszeniem przez komunistyczne władze obowiązującego prawa, bo cmentarz garnizonowy był cmentarzem wojskowym

Fragment twierdzy świdnickiej. W kazamatach pod wałem głównym widocznym na lewo od Bramy Witoszowskiej więzieni byli jeńcy duńscy. Zdjęcie wykonane około 1865 r.

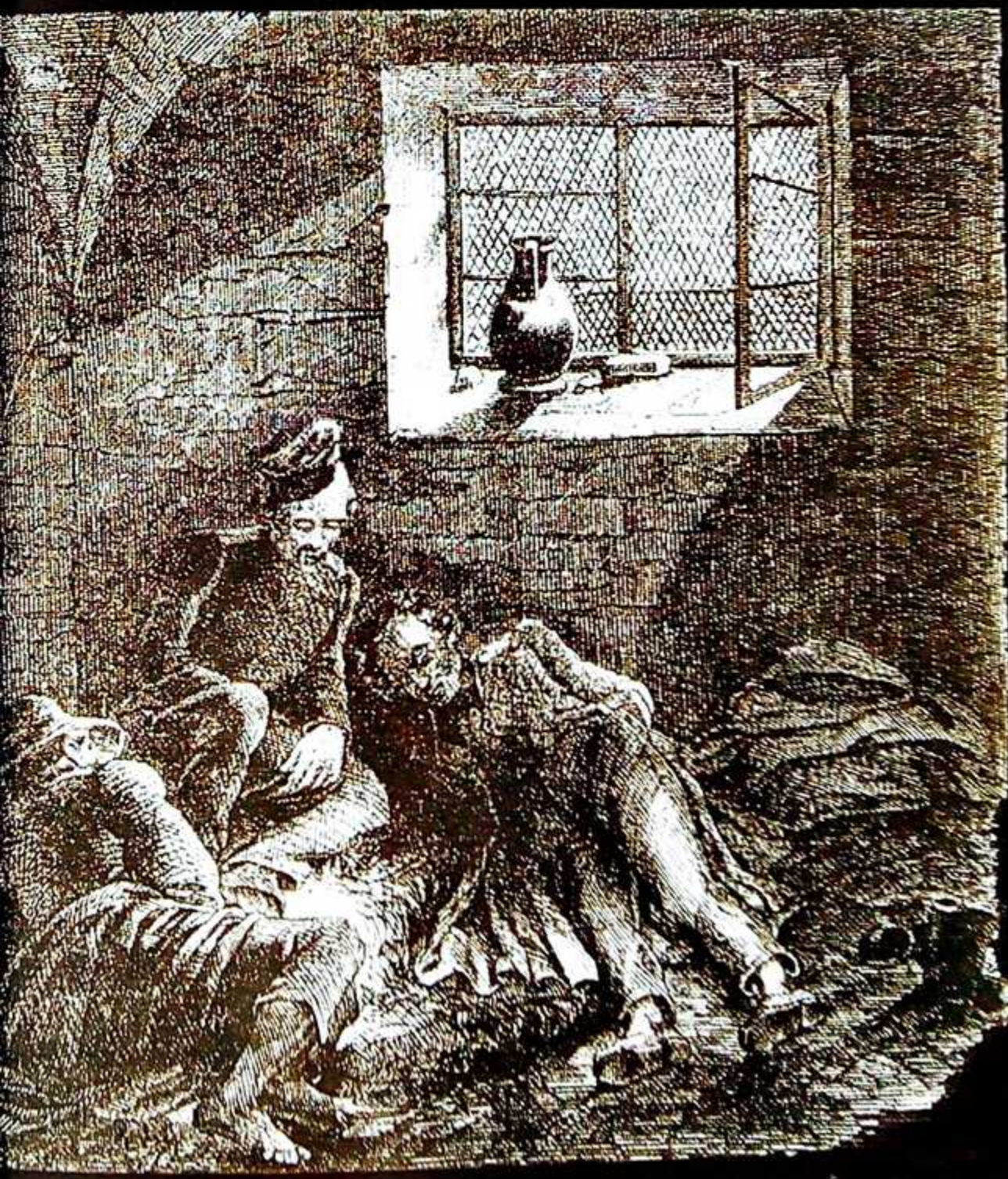

Fot. zbiory T. Grudzińskiego, Wikimedia, Zbiory Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy

Duńscy jeńcy przetrzymywani byli w wilgotnych i ciemnych kazamatach. Rycina z XIX w.

i jako taki chroniony prawem. O ile można jeszcze zrozumieć niszczenie nagrobków w pierwszych latach powojennych ze względu na traumę II wojny światowej, o tyle w późniejszych latach nie zadano sobie trudu, aby dokonać jego inwentaryzacji i ewentualnie uchronić nekropolię przed zniszczeniem. Być może wtedy przekonano by się, że nie są to wyłącznie groby niemieckich żołnierzy. Na cmentarzu spoczęli bowiem także m.in. żołnierze austriaccy, wzięci do niewoli podczas wojny prusko-austriackiej w 1866 roku, a zmarli z powodu ran odniesionych podczas ich uwięzienia w twierdzy świdnickiej. Ich właśnie oraz żołnierzy pruskich, także zmarłych w świdnickim lazarecie, upamiętnia pomnik, który szczęśliwie zachował się do naszych czasów, jako jeden z nielicznych reliktów cmentarza.

Oprócz wspomnianych na wstępie żołnierzy duńskich, na cmentarzu pochowanych było także przynajmniej kilku jeńców alianckich, którzy byli przetrzymywani w Świdnicy w latach I wojny światowej, oraz rosyjskich. Na pewno na cmentarzu znajdowały się groby żołnierzy belgijskich, którzy zostali wzięci do niewoli na początku II wojny światowej. Jacyś żołnierze alianccy byli podobno pochowani także pod koniec II wojny światowej. Niepewne źródłowo informacje wspominają także groby żołnierzy włoskich rumuńskich i serbskich. Jeden ze świadków wskazał również miejsce, w którym w 1947 roku misja amerykańska miała dokonać >>>

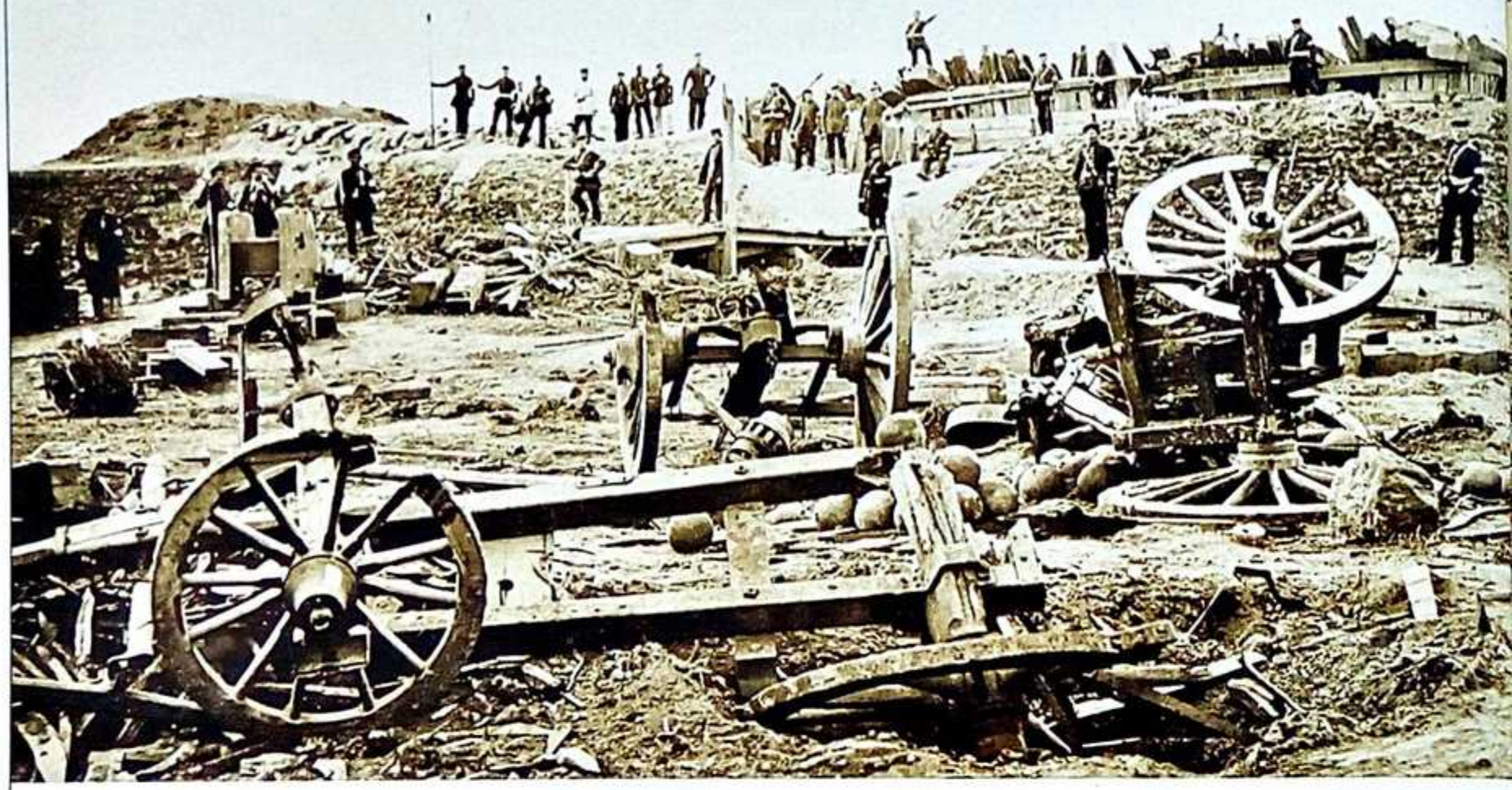

Pobojowisko bitwy pod Dybbøl.

>>> ekshumacji pochowanych na cmentarzu amerykańskich żołnierzy. Niestety, w oparciu o szczątkowe informacje i relacje trudno jest odtworzyć nawet przybliżoną listę pochowanych na cmentarzu żołnierzy różnych narodowości.

Buldożerem po cmentarzu

Jak już wspomniano, proces niszczenia cmentarza trwał do lat 70. ubiegłego wieku. Część nagrobków została ukradziona z cmentarza, być może do wtórnego użycia, natomiast według relacji świadków po tym, co zostało, przejechał buldożer, który we wgłębienia terenu zepchnął pozostałe nagrobki i wyrównał teren. Ostatnie pozostałości dużych kwater, które rozmieszczone były wzdłuż ulicy Armii Krajowej, zostały zasypane ziemią ok. 1980 roku. O tym, że taka rzeczywiście była wersja wydarzeń, świadczą dwa fakty. W 1994 roku burza przewróciła na terenie byłego cmentarza, a dziś parku, niewielkich rozmiarów kilkunastoletnie drzewo. Jego korzenie wydobyły na wierzch fragment dwóch płyt nagrobnych. Eksploracja miejsca przyniosła niespodziewane odkrycie. W jednym z miejsc, tuż obok siebie leżało w sumie aż pięć starych płyt nagrobnych,

Plan bitwy pod Dybbøl 18 kwietnia 1864 roku z zaznaczonymi szańcami i fortami duńskimi.

Żołnierze pruscy na zdobytych szańcach duńskich.

Jeńcy duńscy w Świdnicy. Zdjęcie z 1864 roku.

które zostały zepchnięte w zagłębienie terenu. Najstarsza poświęcona była Królewskiemu Pruskiemu Majorowi Carlowi Antonowi Rudolphowi, baronowi von Wechmar (27.05.1788 r. – 12.02.1844 r.). Kolejne cztery poświęcone były osobom cywilnym, być może żonom, matkom i córkom wojskowych: Sydonii von Meusel (1.03.1833 r. – 30.01.1912 r.) Marie von Doobschuutz (18.03.1840 r. – 16.02.1875 r.), Auguste Schulz (22.03.1799 r. – 24.02.1886 r.) oraz dwóm siostrom Eugenii i Auguście Riebel zmarłym 28.09. i 3.10.1866 r., co może sugerować, że były ofiarami panującej w tym czasie w Świdnicy epidemii cholery. Kilka lat później deszczówka wymyła na alejce prowadzącej do wspomnianego pomnika zmarłych żołnierzy pruskich i austriackich fragmenty potłuczonej tablicy. Eksploracja miejsca pozwoliła na zebranie fragmentów jednej z czterech tablic pomnika (trzy się zachowały) z nazwiskami zmarłych żołnierzy. Destrukcja tablicy wyraźnie wskazywała, że przejechać po niej musiała gąsienica buldożera. Pozbierane szczątki zdeponowane zostały u konserwatora miejskiego.

Jedynymi dziś zachowanymi śladami po dawnym cmentarzu garnizonowym są wspomniany już pomnik zmarłych żołnierzy pruskich i austriackich oraz glaz z inskrypcją poświęconą żołnierzom poległym podczas I wojny światowej. Obrazu zniszczenia dopełniają dwa słupy w miejscu dawnej bramy wejściowej na cmentarz. O Duńczykach do niedawna niewiele było wiadomo...

Z krzyżem w ręku

Wróćmy jednak do duńskich żołnierzy i tego, skąd wzięli się w Świdnicy. Wyjaśnieniem jest wojna prusko-duńska, tzw. II wojna o Szlezwik, która wybuchła między Prusami wspieranymi przez Austrię a Danią. Jej powodem były działania podejmowane od 1863 roku przez króla Danii Fryderyka II Oldenburga i jego następcę Chrystiana IX Glückburga, mające na celu przyłączenie do Danii księstw Szlezwiku, Holsztynu i Saksonii-Lauenberg, złączonych z nią jedynie unią personalną. Te plany spotkały się z ostrą reakcją Prus. W kontekście polityki ich kanclerza Otto von Bismarcka, zmierzającego do osłabienia pozycji Austrii w Związku Niemieckim i przejęcia w nim kierowniczej roli, duńskie zamierzenia były nie do przyjęcia dla Prus. 1 lutego 1864 roku wojska koalicji zaatakowały Danię. Na morzu silna marynarka wojenna Danii >>>

Fot. Wikimedia, www.military-history-denmark.dk, http://1864.dk, http://filicis.dyndns.dk/

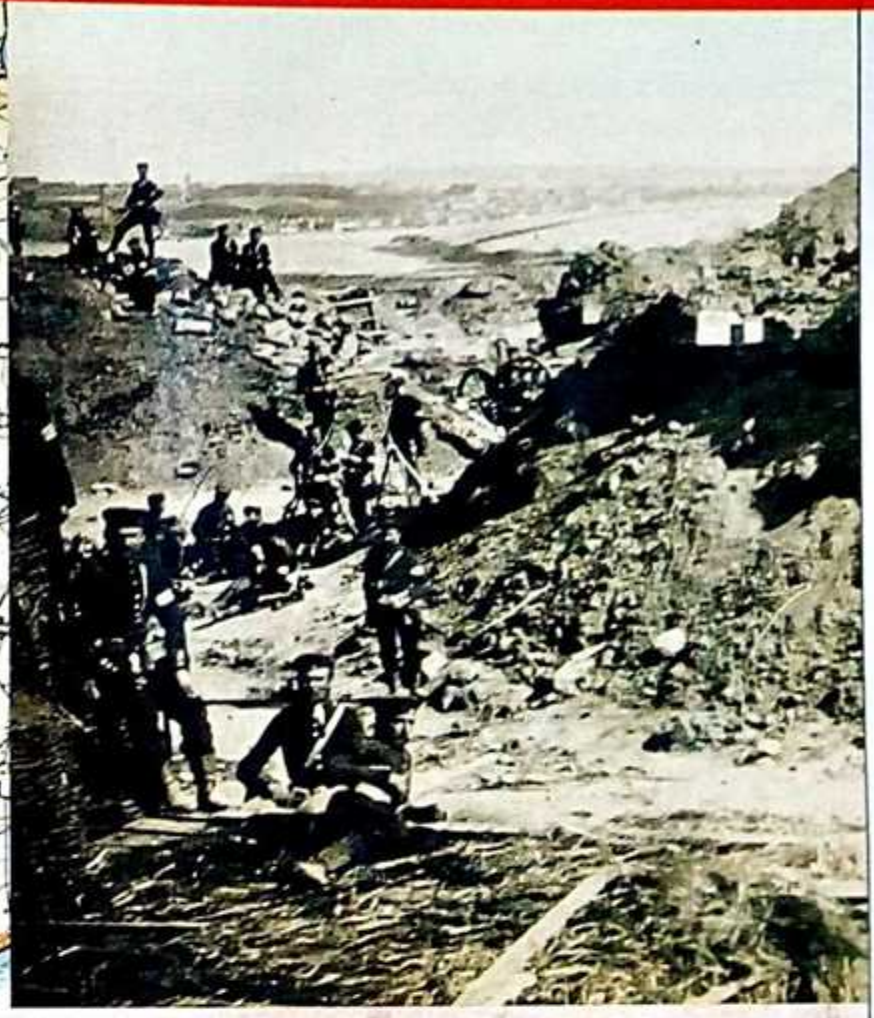

Danske Krigsfanger i Schweidnitz 1864.

>>> stoczyła wprawdzie nierozstrzygniętą bitwę pod Helgolandem, ale już na lądzie wojska duńskie poniosły bolesną porażkę w bitwie pod Dybbøl. Duńczycy próbowali bronić w tej bitwie umocnionych pozycji, ale ulegli sile ognia artylerii oraz przewadze liczebnej wojsk koalicji. Prócz jeńców duńskich Świdnicę i bitwę pod Dybbøl wiąże jeszcze jeden istotny fakt, a raczej osoba świdnickiego księdza Hugo Simona. Jako kapelan 11. dywizji wojsk pruskich z Wrocławia wziął udział w tej bitwie i jako pierwszy z krzyżem w ręku wdarł się na duńskie umocnienia, podrywając Prusaków do zwycięskiego szturmu i zdobywając przy okazji sztandar. Otrzymał za to Order Orła Czerwonego z Mieczami Walki i Krzyż za Bitwę pod Dybbøl. Król podarował mu także jedną z duńskich chorągwi. Rok po bitwie Simon został proboszczem w obecnej katedrze świdnickiej i był jednym z najbardziej zasłużonych duchownych w jej historii. Zmarł 22 lipca 1897 roku i pochowany został w świdnickiej farze.

Weterani spod Dybbøl

Walki w Danii trwały do 30 września 1864 roku, a wojnę zakończył traktat wiedeński, na mocy którego Dania zrzekała się wszelkich praw do spornych księstw na rzecz króla Prus i cesarza Austrii. Oprócz ok. 1 570 zabitych i ok. 700 rannych żołnierzy, do niewoli pruskiej trafiło ok. 3 550 Duńczyków, którzy zostali wywiezieni w głąb Prus, w tym do twierdzy świdnickiej.

Pierwszy transport jeńców trafił do miasta koleją już w pięć dni po bitwie pod Dybbøl – 23 kwietnia 1864 roku. 477 jeńców zostało rozmieszczonych w kazamatach usytuowanych w wale głównym twierdzy pomiędzy Bramą Witoszowską a Przedmościem Kraszowickim. Kolejny transport przybył 25 kwietnia. Na podstawie zapisów w archiwach i doniesień w ówczesnej prasie można stwierdzić, że kolejni jeńcy trafiali do kazamat twierdzy świdnickiej w dniach 1, 14, 17 i 23 maja oraz 3 lipca (500 jeńców z tego transportu

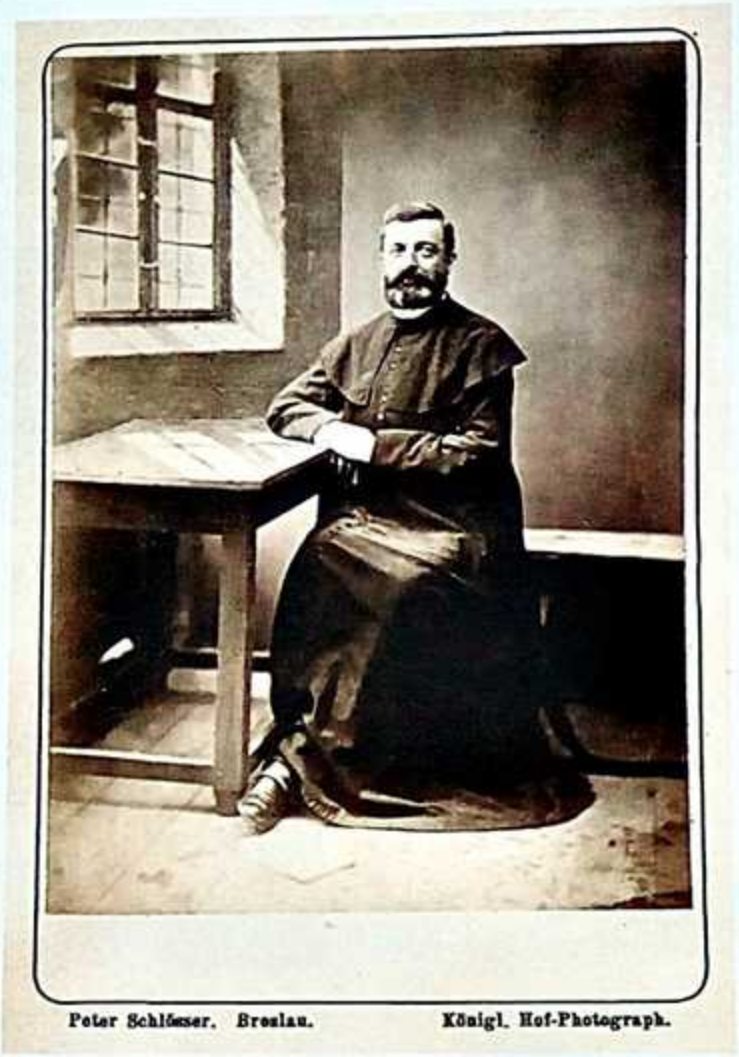

Hugo Simon, ksiądz i późniejszy proboszcz parafii w Świdnicy, który z krzyżem w ręku jako pierwszy wdarł się na szańce duńskie pod Dybbøl.

zostało umieszczonych na terenie koszar przy obecnej ulicy Armii Krajowej). Ostatni potwierdzony w źródłach transport dotarł do Świdnicy 11 lipca 1864 roku. Trudno określić, ilu jeńców przebywało w świdnickich kazamatach. Być może z wyjątkiem dwóch dużych transportów z 23 kwietnia i 3 lipca pozostałe były znacznie mniejsze. Ostrożnie można jednak szacować, że minimum ponad 1 000 duńskich żołnierzy przewinęło się przez Świdnicę, chociaż nie wszyscy w niej pozostali. Z pamiętnika Nielsa Pedersena Uttrupa – o którym za chwilę – wynika, że część jeńców Prusacy przekazali Austriakom, a ci systematycznie ich zwalniali już w sierpniu 1864 roku. Z pewnością więc wśród osadzonych w kazamatach twierdzy świdnickiej jeńców była spora rotacja.

Jedzenie w fosie

Jeńcy duńscy wzbudzili współczucie mieszkańców miasta, którzy okazywali im dużą życzliwość, próbując przemycać dla osadzonych żywność i tytoń. Świadczy o tym chociażby komunikat komendantury garnizonu zamieszczony w urzędowym biuletynie miejskim „Obrigkeitliche Bekanntmachungen" z 30 kwietnia 1864 roku, w którym czytamy: „Uprasza się o nie rzucanie do fosy jakichkolwiek paczek dla duńskich więźniów. Chętni mogą takie podarunki składać w biurze komendantury, w celu ich równego podziału między osadzonych".

Wsparcie, jakie jeńcom okazywali świdniczanie, zostało docenione przez Duńczyków, skoro w tym samym biuletynie z 20 sierpnia 1864 roku dziękowali oni: „Do mieszkańców Świdnicy. Obywatele, przyjmijcie nasze szczere wyrazy wdzięczności! Za troskliwe i ludzkie traktowanie, za łagodzenie trudów naszej niewoli. Pobyt w Świdnicy w tych smutnych okolicznościach będziemy mile wspominać w ukochanej ojczyźnie. Szczęścia i błogosławieństwa!". Przychylny stosunek mieszkańców do jeńców wyrażał się także uczestnictwem w uroczystych pogrzebach zmarłych jeńców.

Warunki bytowe Duńczyków, mimo pomocy ludności, nie były lekkie, biorąc pod uwagę zakwaterowanie w nierzadko wilgotnych kazamatach, zapewne skromne wyżywienie czy przede wszystkim choroby. Jeńcy musieli także pracować przy porządkowaniu umocnień twierdzy. Z siedmiu żołnierzy pochowanych w Świdnicy, tylko jeden zmarł od odniesionych ran, pozostałych sześciu to ofiary tyfusu. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę liczbę osadzonych w twierdzy jeńców, należy uznać, że o ile siedmiu wspomnianych żołnierzy to wszystkie ofiary śmiertelne odnotowane podczas pobytu Duńczyków w mieście, to odsetek zgonów był stosunkowo niski. CDN<

Andrzej Dobkiewicz
dziennikarz i publicysta, autor artykułów i opracowań dotyczących historii ziemi świdnickiej, autor i wydawca książek historycznych. Współpracuje z Fundacją „Idea".

Sobiesław Nowotny
historyk i tłumacz, autor wielu artykułów, opracowań i książek z zakresu historii Dolnego Śląska. Współpracuje z Fundacją „Idea".

fot. Zbiory Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy, A. Dobkiewicz

Zachowany fragment wału głównego twierdzy. Ściana kazamat w wale oraz podjazd dla dział.

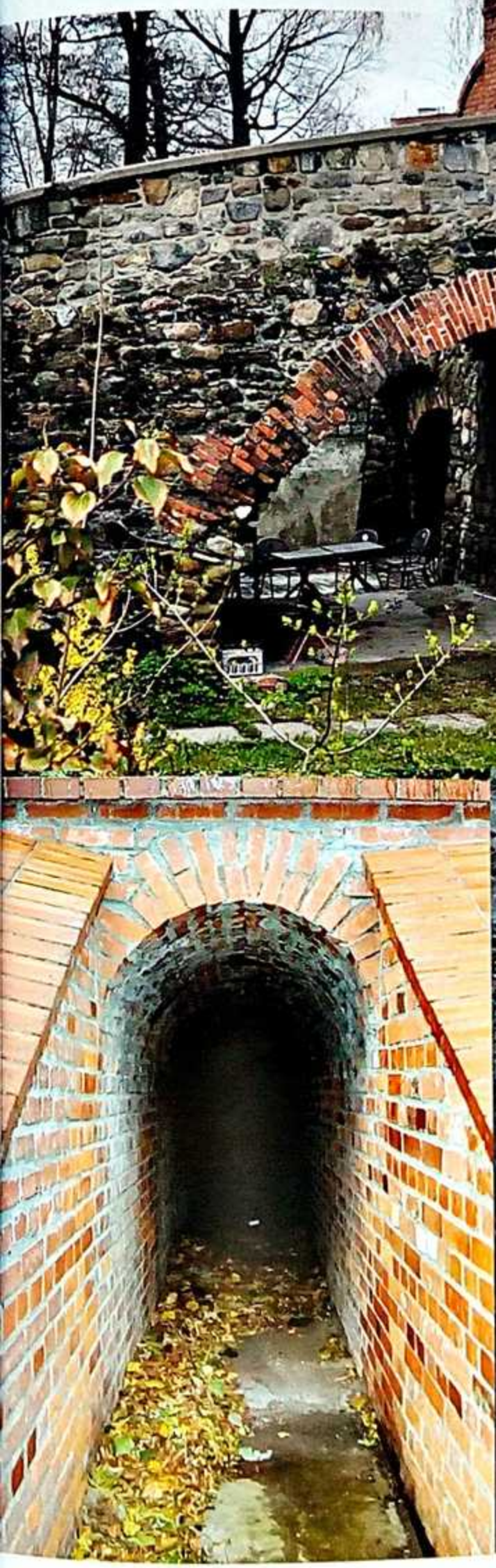

Wnętrze zachowanego fragmentu kazamat w wale głównym twierdzy świdnickiej (zdjęcie powyżej) oraz jedno z zachowanych wejść do nich (zdjęcie z lewej).

POD SZTANDAREM ZABORCY

ŻOŁNIERZE LEGIONÓW POLSKICH NA FRONCIE WŁOSKIM 1917-1918

PIOTR GALIK

W trudnych, wysokogórskich warunkach terenowych i klimatycznych Alp oraz w bagnistych dolinach rzek Isonzo i Piave już od 1915 roku walczyły dziesiątki tysięcy Polaków z ziem zaboru austriackiego.

W lipcu 1917 roku dobiegla kresu bohaterska historia Legionów Polskich. Stało się tak w wyniku niemieckich żądań, by polscy ochotnicy, którzy od trzech lat walczyli ofiarnie u boku sprzymierzonych armii Niemiec i Austro-Węgier, ponownie złożyli przysięgę wojskową, dodatkowo deklarując swoją lojalność wobec cesarza Wilhelma II Hohenzollerna. Ta „drobna formalność" okazała się warunkiem nie do przyjęcia dla Józefa Piłsudskiego, politycznego przywódcy ruchu legionowego. Zalecił on swoim żołnierzom odmowę złożenia przysięgi, co oznaczać mogło tylko jedno – likwidację odrębnych polskich formacji walczących po stronie Berlina i Wiednia. Większość legionistów I i III Brygady zastosowała się do tego życzenia. Przysięgę złożyli natomiast liczni weterani „Żelaznej" II Brygady, kierujący się pragmatycznym poglądem, że niezależnie od politycznych zawirowań Polska musi mieć własną siłę zbrojną, nawet za cenę przykrego kompromisu moralnego. Weszli oni w skład Polskiego Korpusu Posiłkowego i skierowani zostali na front rosyjski.

Legioniści odmawiający złożenia przysięgi potraktowani zostali odpowiednio do ich przedwojennej przynależności państwowej: pochodzący z ziem zaboru rosyjskiego zostali rozbrojeni i zesłani do obozów internowania, natomiast poddani Austro-Węgier, solidaryzując się ze swoimi „królewiackimi" towarzyszami broni, gremialnie zażądali przeniesienia do

armii austro-węgierskiej. Próby nakłonienia „legunów" do zmiany decyzji podjął cesarsko-królewski feldmarszałek-porucznik Jan Schilling, pochodzący z okolic Nowego Sącza. Starania te spełzły jednak na niczym. Wobec nieprzejednanej postawy polscy żołnierze zostali przekazani austro-węgierskim komendom uzupełnień i skierowani do służby w rozmaitych jednostkach, rozsianych na różnych frontach – włoskim, bałkańskim i rosyjskim. Zdecydowana większość byłych legionistów trafiła na front włoski, w drugiej połowie 1917 roku najważniejszy teatr działań habsburskich sił zbrojnych. W trudnych, wysokogórskich warunkach terenowych i klimatycznych Alp oraz w bagnistych dolinach rzek Isonzo i Piave już od 1915 roku walczyły dziesiątki tysięcy Polaków z ziem zaboru austriackiego. Jesienią 1917 dołączyli do nich weterani formacji legionowych, rozproszeni wśród wielu pułków i batalionów monarchii naddunajskiej.

Znów na wojnę

W połowie września 1917 roku rozpoczęła się translokacja byłych legionistów do stref przyfrontowych. W ciągu kolejnych tygodni grupy złożone z kilkuset żołnierzy kierowano transportami kolejowymi do miejsca przeznaczenia, którymi były oddziały szkoleniowe (Ausbildungsgruppen), zapoznające nowo przybyłych z taktyką walki w specyficznych warunkach bojowych. Przejazd z Galicji na pogranicze austriacko-włoskie trwał zwykle około 3 dni i upływał w raczej beztroskiej atmosferze. Jak wspominał Jan Pudełek, jeden z legionistów wysłanych na front alpejski, pasażerowie jego transportu nie stronili od wina, gry w karty i innych rozrywek, do których zaliczano także „nabieranie" przygodnie spotykanych żołnierzy austriackich, zaciekawionych niecodziennym wyglądem i swobodnym zachowaniem „legunów". Na pytania:

– A co to za wojsko? Skąd i dokąd jedzie?

– Polnische Stosstruppen (polskie oddziały szturmowe) – padają odpowiedzi. – Jedziemy spod Rygi, gdzie przełamaliśmy front, a teraz spieszymy na front włoski, gdzie także mamy zrobić Durchbruch (przełamanie). Potem jedziemy na front rumuński.

– A gdzie macie broń? Bez broni jedziecie na nieprzyjaciela?

– Jako oddziały szturmowe walczymy jedynie granatami ręcznymi, w które zaopatrujemy się na miejscu.

Różne były odmiany tych rozmów przy poszczególnych wagonach. Czy rozmówcy austriaccy uwierzyli w nasze zapewnienia, że jesteśmy Polnische Stosstruppen, to znowu Bulgaren, nie mieliśmy możności sprawdzić".

Po dotarciu do miejsca przeznaczenia, legionowi weterani trafiali na elementarne przeszkolenie wojskowe, obejmujące podstawy musztry i naukę o broni. Zazwyczaj okazywało się, że cesarsko-królewscy instruktorzy nie dorównywali praktyczną wiedzą wojskową swoim kursantom, którzy poznawali rzemiosło wojenne w ciężkich walkach z Rosjanami w Królestwie Polskim i na Wołyniu...

Warto zaznaczyć, że w większości przypadków byli legioniści nie spotykali się ze szczególnymi szykanami ze strony habsburskich dowódców, choć często budzili w kręgach zawodowych oficerów austriackich mieszane uczucia: szacunek wzbudzały ich umiejętności i odwaga, a obawy – niezależność poglądów i typowo „leguńska" nonszalancja wobec feudalnych tradycji cesarstwa.

Jedną z najdokuczliwszych restrykcji względem „politisch verdächtig" (politycznie podejrzanych) oficerów legionowych było pozbawienie ich dotychczasowych stopni wojskowych. Byli porucznicy i kapitanowie musieli rozpocząć służbę w c.k. armii jako sierżanci podchorążowie (einjährig Freiwilliger Feldwebel Kadettaspirant), z podoficerską gażą, lecz praktycznymi obowiązkami subalterna (młodszego oficera). Stopnie podoficerskie nadane w Legionach Polskich uznawano bez zastrzeżeń, tak więc zdarzało się, że były porucznik stawał się młodszy stopniem od swoich legionowych podkomendnych w stopniu starszego sierżanta... Plusem statusu podchorążego była możliwość ponownego awansu do stopni oficerskich po odbyciu przewidzianych regulaminem kursów i szkoleń. Zanim jednak do tego doszło, zdegradowani legioniści nie bez pewnej przekory nosili zdobyte na froncie rosyjskim oficerskie odznaczenia bojowe, co budziło zdziwienie ich nowych towarzyszy broni.

Alpejskie odcinki frontu włoskiego przebiegały niejednokrotnie w terenie wysokogórskim, walki toczono na lodowcach i wśród szczytów najwyższych gór Europy... [pocztówka z czasów I w. św.]

Oficerski Krzyż Zasługi Wojskowej, odznaczenie przekornie noszone przez pozbawionych stopnia oficerskiego ekslegionistów na froncie włoskim.

Oficer Legionów Polskich, Leopold Lis-Kula, bohater frontu włoskiego, w niepodległej Rzeczypospolitej najmłodszy wiekiem pułkownik Wojska Polskiego.

Wśród swoich

Wielu „legunów" trafiło do galicyjskich pułków, należących do krakowskiej 12 Dywizji Piechoty, dowodzonej przez byłego komendanta Legionów Polskich, feldmarszałka-porucznika Stanisława Puchalskiego. Pomimo stopniowego odchodzenia od zasady terytorialnej rekrutacji i napływu uzupełnień z innych regionów monarchii, pułki piechoty 20 (sądecki), 56 (wadowicki) i 100 (cieszyński) wciąż w znacznej mierze utrzymały polski charakter etniczny. Ferdynand Pawłowski, legionista, który przydzielony został do 20 pp, tak opisywał specyfikę swojego >>>

Album Legionów Polskich. Wacław Lipiński.
„Album Legionów Polskich", który ukazał się pierwotnie w 1933 roku, stanowi pozycję wyjątkową i niepowtarzalną, zarówno pod względem historycznym, jak i edytorskim. W setną rocznicę wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej wydawca prezentuje przygotowany z wyjątkową starannością album i poddany specjalnej obróbce cyfrowej.
Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

fot. arch. autora

www.delcampe.net

W dolinie rzeki Piave, gdzie toczyły się zacięte walki, bagnisty, podmokły grunt utrudniał budowę okopów, a wszechobecna wilgoć przyczyniała się do częstych chorób żołnierzy. [pocztówka z czasów I w. św.]

>>> oddziału: „Polakami byli przeważnie niżsi oficerowie (do komendantów kompanii włącznie) i jeden komendant baonu oraz prawie wszyscy szeregowcy. Podoficerami byli w połowie Polacy i Czesi. Komendantami dwóch baonów byli też Czesi. Niemców było niewielu: komendant pułku, komendant 1 baonu i paru niższych oficerów". Dowódca dywizji zachował najwidoczniej pozytywne wspomnienia ze swojego legionowego epizodu w karierze, gdyż okazywał byłym „legunom" szacunek i zaufanie, nie sugerując się ostrzegawczymi adnotacjami w dokumentach nowo przybyłych żołnierzy. Wkrótce po wcieleniu byłych legionistów do służby, 12 DP wzięła udział w wielkiej, zwycięskiej ofensywie przeciwko Włochom. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jednostka ta nie uczestniczyła w najkrwawszych atakach nad Isonzo, lecz nacierała w drugim rzucie, dzięki czemu uniknęła wielkich strat, typowych dla walk na tym odcinku frontu. Byli legioniści nie uchylali się jednak od udziału w bojach, a jednym z najbardziej znanych wyczynów frontowych tego czasu stał się szturm na włoskie pozycje w rejonie umocnionego punktu Cordelazzo, kontrolującego deltę rzeki Piave. Został on zdobyty w wyniku brawurowej akcji Leopolda Lisa-Kuli, byłego kapitana Legionów Polskich. Lis-Kula, który odniósł w tej walce kilka ran, został na polu bitwy odznaczony złotym medalem za waleczność, najwyższym odznaczeniem bojowym dla szeregowych i podoficerów armii habsburskiej. Reprezentował on tradycyjny etos polskiego żołnierza, dbałego o rycerski honor i nieposzlakowaną opinię. Takie podejście do służby wojskowej było typowe dla wielu innych eksległonistów, którym przypadła w udziale walka na froncie włoskim.

Pojednanie ponad podziałami

Ofiarna i lojalna służba frontowa przyczyniła się do stopniowej poprawy statusu byłych legionistów w szeregach cesarsko-królewskich sił zbrojnych. Wielu oficerów ukończyło wymagane kursy i odzyskało dawne stopnie, a szeregowi żołnierze otrzymali liczne awansy podoficerskie. Ten okres chwilowego odprężenia w relacjach z zaborcami przerwała w lutym 1918 roku hiobowa wieść o warunkach traktatu pokojowego, zawartego w Brześciu Litewskim między Państwami Centralnymi i nowo powstałą Ukraińską Republiką Ludową. Jednym z uzgodnionych punktów było oddanie Ukrainie polskiej Chełmszczyzny i części Podlasia oraz wydzielenia z ziem polskich pod zaborem austriackim Małopolski Wschodniej ze Lwowem jako autonomicznego ukraińskiego terytorium narodowego. Polska opinia publiczna zawrzała. Fali strajków i publicznych protestów towarzyszyły liczne dymisje Polaków, pełniących dotąd eksponowane stanowiska we władzach państwowych Monarchii. Odznaczeni cesarskimi orderami ostentacyjnie odsyłali insygnia do Wiednia. Wstrząśnięte tak ostrą i masową reakcją władze Austro-Węgier wycofały się z postanowień traktatu, lecz zaufania Polaków już nie odzyskały. Oburzenie ogarnęło także oddziały Polskiego Korpusu Posiłkowego, stacjonujące na spokojnym, bukowińskim odcinku frontu wschodniego w pobliżu miejscowości Rarańcza. Oficerowie PKP podjęli decyzję o przejściu frontu i wkroczeniu na tereny Podola, gdzie formowały się ochotnicze oddziały polskie. Po krótkiej, lecz zaciętej walce z oddziałami

Oficer Legionów Polskich, Leopold Lis-Kula, fotografia portretowa.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

austro-węgierskimi większość oddziałów piechoty zdołała zrealizować swój plan, lecz artyleria, kawaleria i formacje tyłowe zostały zatrzymane i rozbrojone przez niedawnych sojuszników. Ujęci „karpatczycy" zostali wiosną 1918 roku wcieleni do oddziałów habsburskich i skierowani w rozproszeniu do różnych pułków na froncie włoskim. Tak oto doszło do pojednania skłóconych z powodu przysięgi frakcji legionowych. Większość eksleginistów poczuła się zwolniona z obowiązku lojalności wobec Wiednia i szukała wyjścia z kłopotliwej sytuacji różnymi drogami – poprzez urlopy na uzupełnienie wykształcenia, skierowania na leczenie w głębi kraju, a nawet samowolne opuszczanie oddziałów czy przechodzenie na włoską stronę frontu. Jedynie część byłych legionistów dotrwała w służbie zaborcy aż do rozpadu państwa habsburskiego i powróciła do Polski jesienią 1918 roku. <

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel miesięcznika „Odkrywca", konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii.

LITERATURA ILUSTRACJE

JAN PUDEŁEK, W drużynie komendanta, Łomianki 2009.

JAN SNOPKO, Legioniści Polscy na froncie włoskim w latach 1917-1918,(w:) Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63) 2011, z.1 (234), s. 7-22.

FERDYNAND PAWŁOWSKI, Wspomnienia legionowe, Kraków 1994.

RUDOLF ŚWIĄTKOWSKI, Wśród wichrów, Toruń 1929.

Wacław Lipiński, Walka zbrojna o niepodległość Polski w latach 1905–1918, Warszawa 1990.

REKLAMA

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HIST MAG .ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

Piłsudski: Jednego się zawsze obawiałem: żeby to „coś" mnie nie tknęło dlatego paliłem światło..."

PIŁSUDSKI, WIRUJĄCE STOLIKI I FENOMEN Z WARSZAWY

TOMASZ DUSZYŃSKI

Okres Polski międzywojennej to czas niezwykły i magiczny dla naszego kraju oraz narodu. Lata dwudzieste XX wieku charakteryzował optymizm, radość i euforia z powodu zakończenia wojny i odzyskania niepodległości. Jednocześnie wspomnienia okropieństw wojny i tragicznych losów narodu miały wpływ na rozwój duchowy kolejnych pokoleń Polaków.

Spirytualizm rozwijający się w Europie i na świecie padł na podatny grunt także w Polsce. Praktyki okultystyczne były jednak zakazane pod zaborami, szczególnie w zaborze rosyjskim. Jedynie na terenie Austro-Węgier panowała większa swoboda. Krakowski „Czas" pisał o wirujących stolikach i eksperymentach w Ameryce, które pozwalały na rozmowy z duszami zmarłych za pośrednictwem stołów. Właśnie tu, w Krakowie, przeprowadzono pierwsze doświadczenia, które dokumentowano w prasie. Najbardziej niewytłumaczalne wydarzenia miały miejsce podczas seansów z udziałem Marii Czechównej. Przesuwała ona siłą woli ciężkie biblioteczki i stoły, wprawiała w wirowy ruch lustra i obrazy. To właśnie Czechówna została uznana pierwszym polskim medium.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości seanse spirytystyczne organizowano w niemal każdym domu. Zapotrzebowanie na „zdolności" wróżek i jasnowidzów utworzyło rynek dla całej plejady specjalistów od wiedzy tajemnej. Wróżono z kart tarota, obliczano horoskopy, analizowano pismo. Wróżbici przepowiadali przyszłość z dłoni, z kawowych lub herbacianych fusów, z kurzego jajka wbitego do szklanki albo szklanej kuli. W prasie codziennej pojawiały się liczne ogłoszenia „mistrzów wiedzy tajemnej", które do dziś stanowią ciekawą lekturę. Demaskowaniem szerokiego grona hochsztaplerów zajął się jeden z członków Warszawskiego Towarzystwa Psycho-Fizycznego zamieszczający swoje felietony w Ilustrowanym Kuryerze Codziennym pod pseudonimem St. Ardens.

Nie wszyscy jednak wróżbici i estradowi magicy wydawali się oszustami...

Wolf Messing jako dziecko przemierzył niemal całą Europę, zatrudniając się w różnych trupach cyrkowych. Po powrocie do kraju przeprowadzono z nim szereg

Obraz symboliczny, Jacek Malczewski, Portret brygadiera Józefa Piłsudskiego.

fot. Wikipedia, Narodowe Archiwum Cyfrowe

eksperymentów, które udowadniały, że posiadał... dar telepatii. Ścieżki losu zaprowadziły go w końcu do Związku Radzieckiego. Zrobił tam zawrotną karierę. Podobno był szpiegiem pracującym dla sowieckiego wywiadu.

Olbrzymią sławę nie tylko w Polsce, ale i na świecie zdobyła zielarka Agnieszka Pilchowa. Ówczesny prezydent Czechosłowacji namawiał ją nawet do zamieszkania na Hradczanach. Część z jej wizji wydaje się całkowitym wymysłem, jak ta o wędrówkach astralnych między innymi na planetę Mars (tam podobno poznała istoty będące od ludzi na wyższym poziomie rozwoju). W ostatnich latach przed śmiercią miała jednak ogłosić bardziej znaczącą przepowiednię. Doszukiwano się w jej proroctwie ostrzeżenia o zbliżającej się wojnie światowej i opisu zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę.

Faktem jest, że wiele znanych osób ze świata sztuki, nauki czy polityki korzystało w okresie międzywojennym z usług jasnowidzów i wróżbitów. Świat spirytualizmu nie był także obcy marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Oddam głos samemu Naczelnikowi:

„A Belweder! Gdybyście państwo wiedzieli, co się działo w Belwederze...! to ja przez cztery lata nigdy tam światła nie gasiłem spałem przy lampie. (...) Stale co wieczora, gdym się położył, słyszałem wyraźne kroki do koła mojego łóżka, ku oknu i z powrotem. Po tym zaczynało się stukanie w szklane naczynie z owocami, w klosz lampki elektrycznej... Jednym słowem cała seria dźwięków niemożliwych do wytłumaczenia. Jednego się zawsze obawiałem: żeby to »coś« mnie nie tknęło dlatego paliłem światło..."[1]

To zapalone światło w Belwederze jest znaczące dla życia duchowego Marszałka. Bolesław Wieniawa-Długoszowski opisywał pewne wydarzenie, do którego doszło na froncie w 1915 roku. Pewnego wieczora Komendant wyraził zgodę na przeprowadzenie w gronie oficerskim eksperymentu. Ustawiono stolik, na nim położono arkusz z wypisanym alfabetem, do tego porcelanowy spodek ze wskazówką. Wkrótce wskazówka zaczęła się obracać i udzielać odpowiedzi na zadawane pytania.

Pytanie zdecydował się zadać także Piłsudski. Komendant zaprosił do stołu „ruskiego gienierała", co poskutkowało pojawieniem się wśród obecnych ducha generała Nikołaja Liniewicza (znanego z wojny japońsko-rosyjskiej). Po krótkiej wymianie zdań Piłsudski zapytał go, czy zbliżające się święta będą spokojne, czy też powinni oczekiwać nękania Moskali. Liniewicz zapowiedział, że święta będą spokojne, Moskale jedynie pozorować będą atak na ich umocnienia, a natarcie pójdzie bardziej na południe... Tak też według relacji świadków się stało.

Z Józefem Piłsudskim związanych jest wiele anegdot dotyczących jego doświadczeń nadnaturalnych. Warto przy tej okazji wspomnieć jedną z ciekawszych towarzyskich relacji, jaka nawiązała się pomiędzy Naczelnikiem a inżynierem Stefanem Ossowieckim, nazywanym fenomenem z Warszawy.

Inżynier Stefan Ossowiecki ujawnił zdolności paranormalne już w wieku czternastu lat. Był w stanie poruszać przedmiotami na odległość i wykorzystywał to w zabawie z rodziną i znajomymi. Wspominał, że kazał przywiązywać się do >>>

Magiczne dwudziestolecie.
Przemysław Semczuk
Wróżenie z kart, z fusów, horoskopy i media rozmawiające z duchami zmarłych. W dwudziestoleciu międzywojennym świat materialny na co dzień przenikał się ze światem duchowym. Wolność w odradzającej się Polsce dotyczyła rożnych dziedzin życia. Także wiary w duchy i zjawiska nadprzyrodzone...

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Jasnowidz Stefan Ossowiecki w swoim mieszkaniu.

Seans spirytystyczny z udziałem medium Jana Guzika.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

>>> krzesła, a wtedy przyciągał do siebie zegary, stoły i fotele. Urodzony w Moskwie, ale pochodził z polskiej rodziny. Jego ojciec był asystentem profesora Mendelejewa. On sam także poświęcił się nauce i ukończył Instytut Technologiczny w Petersburgu, uzyskując tytuł inżyniera chemika.

Józef Piłsudski był częstym gościem w domu inżyniera. Obaj mężczyźni przeprowadzali wspólne eksperymenty, w tym także telepatyczne. Podczas jednego z nich, Piłsudski i Ossowiecki równo o północy, przebywając w swoich gabinetach, mieli wypowiedzieć w myślach zdanie, a potem pozazmysłowo je odczytać. Eksperyment ten zakłóciła żona inżyniera, która weszła do pokoju Ossowieckiego i zbeształa męża za nadużywanie elektryczności. Inżynier był pewny, że doświadczenie się niestety nie powiodło, jednak następnego dnia Piłsudski opisał dokładnie to, co usłyszał z ust jego małżonki.

Marszałek niewątpliwie bardzo cenił sobie towarzystwo jasnowidza. Kolejna z anegdot, dotycząca ich relacji, miała miejsce podczas wspólnego obiadu. Piłsudski napisał na kartce zdanie, które włożył do koperty. Poprosił potem Ossowieckiego o odczytanie zawartości listu bez jego otwierania. Inżynier zrobił to podobno bez wysiłku, wypowiadając zdanie: „Pocałuj mnie w dupę". Możemy przypuszczać, że Ossowiecki, znając Naczelnika i jego cięty język, nie musiał w tym wypadku wykazywać się wielkim talentem jasnowidztwa. Kiedy jednak żarty odstawiono na bok, marszałek miał zaproponować jasnowidzowi pracę w wywiadzie. Inżynier odmówił, twierdząc, że Niemcy szybko by go wykończyli. Ossowiecki błyskawicznie zyskał miano fenomena z Warszawy. Jego zdolności poddawano licznym eksperymentom przeprowadzonym w obecności badaczy z Francji, Anglii i USA.

Czy inżynier rzeczywiście posiadał zdolności, które mu przypisywano? Trudno nam zweryfikować w czasach obecnych jakość eksperymentów sprzed lat. Bez wątpienia ludzie chcieli wierzyć w trudne do wyjaśnienia fenomeny, ubarwiające ich codzienne życie. Podobnie nie sposób wyrokować, czy Józef Piłsudski posiadał dar telepatii. Możliwe, że to Ossowiecki umacniał w nim wiarę w parapsychiczne zdolności. Faktem jest natomiast, że zdolności inżyniera starano się wykorzystać w różny sposób. Jednym z nich było poszukiwanie osób zaginionych.

Najbardziej spektakularnymi poszukiwaniami opisywanymi na bieżąco w prasie polskiej i zagranicznej były próby odnalezienia balonu „LOPP", biorącego udział

Jasnowidz Stefan Ossowiecki w swoim mieszkaniu w Warszawie.

w zawodach balonowych Gordona Benetta w 1936 roku. Kontakt z polską załogą, Antonim Januszem i Stanisławem Brenką, urwał się jakiś czas po starcie i obu baloniarzy uznano za zaginionych. Rosjanie rozpoczęli poszukiwania balonu w okolicach Archangielska i Leningradu, nie zgodzili się jednak na dołączenie do poszukiwań polskich samolotów cywilnych. Wtedy poproszono o pomoc Ossowieckiego. Inżynier dokładnie opisał przelot polskiego balonu i podał przybliżone miejsce lądowania. Piloci wkrótce zostali odnalezieni, a miejsce, które wskazał inżynier i droga, którą przebyła załoga, zgadzała się z jego ustaleniami. Co prawda większość podawanych przez inżyniera wskazówek miała charakter ogólny, jednak kilka informacji wydawało się nieprzypadkowych. W publikacjach dotyczących Stefana Ossowieckiego można odnaleźć informację, że Ossowiecki przewidział swoją śmierć. Wiele osób twierdzi, że widziano jego ciało wśród rozstrzelanych w Warszawie 5 sierpnia 1944 roku. Ciała inżyniera jednak nigdy nie odnaleziono, a jego grób na Powązkach jest symboliczny.

Dziś można oczywiście zadawać sobie pytania, czy znając okoliczności swojej śmierci inżynier nie powinien był jej zapobiec? Po co dar jasnowidzenia, skoro nie potrafimy go wykorzystać? Odpowiedź na to pytanie pozostanie tajemnicą Ossowieckiego, czyniąc jego i inne postaci tamtego okresu jak i polskie międzywojnie jeszcze bardziej magicznymi. <

Tomasz Duszyński

Dziennikarz, pisarz, scenarzysta, z wykształcenia historyk. W sierpniu 2017 roku ukazała się jego powieść „Impuls" (wydawnictwo Sine Qua Non). Jest to alternatywna historia międzywojennej Polski, w której odnaleźć można wątki zawarte w tym artykule – Józef Piłsudski szuka ratunku dla kraju i narodu w seansach spirytystycznych...

BIBLIOGRAFIA

SEMCZUK PRZEMYSŁAW, Magiczne Dwudziestolecie,
BORUŃ KRZYSZTOF, BORUŃ KATARZYNA, Ossowiecki – zagadki jasnowidzenia,
OSSOWIECKI STEFAN, Świat mego ducha i wizje przyszłości.

PRZYPISY

[1] Przemysław Semczuk, Magiczne dwudziestolecie, Warszawa 2014, s.201

DZIAŁANIA RADZIECKICH ZWIADOWCÓW W REJONIE JELENIEJ GÓRY W LUTYM 1945 ROKU

MACIEJ SZCZEREPA, WOJCIECH SZCZEREPA

Miasto ze względu na znajdujące się tu lotnisko, węzeł kolejowy oraz koszary natychmiast znalazło się w sferze zainteresowania radzieckiego dowództwa, które skierowało w jego rejon, na tzw. głębokie zaplecze wroga, kilka grup zwiadowczych.

8 lutego 1945 roku z nadodrzańskich przyczółków ruszyła kolejna ofensywa wojsk 1 Frontu Ukraińskiego, w wyniku której Armia Czerwona zajęła kolejne połacie Dolnego Śląska. Linia frontu ostatecznie zatrzymała się i ustabilizowała do początków maja 1945 roku ponad 20 km na północ od Jeleniej Góry. W niniejszym artykule przybliżymy działania tych grup, które wypełniały zadania w pobliżu Jeleniej Góry w drugiej połowie lutego 1945 roku.

Zwiadowcy z 100 Samodzielnego Batalionu Motocyklowego

Niestety, Rosjanie nie udostępnili jeszcze wszystkich materiałów związanych z działaniami grup rozpoznawczych na terenie Dolnego Śląska, w tym w pobliżu Jeleniej

Góry. Z dostępnych źródeł stosunkowo najwięcej informacji dotyczy żołnierzy z 100 Samodzielnego Batalionu Motocyklowego dowodzonego przez kapitana Iwana Kleba. Jednostka ta wchodziła w skład 9 Korpusu Zmechanizowanego 3 Armii Pancernej Gwardii. Z naszych ustaleń wynika, że na tyłach wroga w rejonie Jeleniej Góry w drugiej połowie lutego 1945 roku działały co najmniej dwa siedmioosobowe zespoły zwiadowców tego batalionu.

Pierwszy z nich wykonywał zadania w dniach od 19 do 27 lutego 1945 roku. Z grona siedmiu zwiadowców udało się ustalić personalia tylko trzech. Byli to starszy sierżant Wasilij Siergiejew (rocznik 1914), młodszy sierżant Anatolij Paschałow (rocznik 1921), szeregowiec Nikołaj Frołow (rocznik 1923).

W dniu 19 lutego 1945 roku, już po zapadnięciu zmroku, grupa zwiadowców wraz z radiostacją niepostrzeżenie przekroczyła linię frontu. Z zachowanych źródeł wynika, że nastąpiło to na odcinku Sobota – Dłużec. Warunki terenowe (lasy, wzniesienia) sprzyjały czerwonoarmistom, którzy w rejonie Przeździedzy przedarli się przez kolejne niemieckie pozycje obronne złożone z trzech rzędów zasieków, do których podejść chroniło pole minowe. W nocy zwiadowcy przekroczyli drogę pomiędzy Bystrzycą a Wleniem i znaleźli się w Górach Kaczawskich. Po znalezieniu kryjówki przez kilka kolejnych dni zwiadowcy wykonywali zadania w trójkącie Wleń – Świerzawa – Jelenia Góra.

Pierwszym zadaniem, zleconym przez dowództwo grupie zwiadowczej, było rozpoznanie węzła kolejowego w Jeleniej Górze. W akcji, która odbyła się we wtorek 20 lutego 1945 roku wzięło udział czterech zwiadowców. Sam jej przebieg znany jest jedynie z opisów zawartych we wnioskach nagrodowych dwóch z żołnierzy: młodszego sierżanta Anatolija Paschałowa i szeregowca Nikołaja Frołowa. Wynika z nich, że rozpoznawali oni rejon głównego dworca kolejowego w Jeleniej Górze, prowadząc jego wielogodzinną obserwację najprawdopodobniej z jednego ze wzniesień górujących nad miastem. Po zapadnięciu zmroku wszyscy czterej zwiadowcy bezpiecznie wrócili do bazy i przekazali dowódcy grupy informacje o 13 transportach wojskowych wypełnionych sprzętem i zapasami, stojących na bocznicach jeleniogórskiego głównego dworca kolejowego. Jeszcze tej samej nocy z 20 na 21 lutego 1945 roku informacja o tym trafiła do sztabu 9 Korpusu Zmechanizowanego, którego kwatera znajdowała się wówczas w pałacu w Brunowie koło Lwówka Śląskiego. Dworzec kolejowy i stojące tam eszelony zostały wkrótce zbombardowane przez radzieckie lotnictwo, w wyniku czego wybuchły trzy duże pożary, doskonale widoczne z otaczających miasto wzgórz.

22 lutego 1945 roku zwiadowcy podzieli się na dwie mniejsze grupy. Jedna, prowadziła rozpoznanie podejść do Jeleniej Góry. W wyniku obserwacji ustaliła, że Niemcy prowadzili w tym czasie intensywne przygotowania do obrony miasta. Potwierdzają to źródła niemieckie przechowywane w jeleniogórskich oddziale Archiwum Państwowego we Wrocławiu. Kopano okopy i stanowiska strzeleckie, rozmieszczano zasieki oraz budowano zapory przeciwpancerne na drogach dojazdowych do miasta. W tym dniu o mały włos nie doszło do dekonspiracji grupy, która mogła zakończyć się dla niej tragicznie. Obserwując z ukrycia poczynania ludności, czerwonoarmiści nie zauważyli zbliżającego się niemieckiego patrolu. Siedmiu hitlerowców zbliżyło się do pozycji zwiadowców na odległość zaledwie 10 metrów, po czym... spokojnie ruszyli dalej. Najprawdopodobniej zwiadowców uratowały stroje maskujące i zimna krew.

W tym samym dniu drugi zespół złożony z dwóch zwiadowców, w tym starszego sierżanta Wasilija Siergiejewa prowadził obserwację szosy wiodącej z Jeleniej Góry w kierunku Wlenia. Miała ona strategiczne znaczenie, gdyż prowadziła w kierunku linii frontu i odbywał się na niej ruch niemieckich kolumn wojskowych. Z materiału źródłowego można wywnioskować, że stanowiska obserwacyjne zwiadowców musiały się znajdować gdzieś na porośniętych lasami wzgórzach w pobliżu Nielestna. We wsi tej znajdowało się rozwidlenie dróg. Jedna – główna – prowadziła do Wlenia, druga zaś skręcała w kierunku na Czernicę. Zwiadowcy w wyniku kilkugodzinnej obserwacji odnotowali przejazd dwóch kolumn wojskowych. W stronę Wlenia skierowało się ponad 40 samochodów ciężarowych wypełnionym wojskiem. Druga zaś złożona z czterech czołgów i sześciu transporterów opancerzonych skręciła w stronę Czernicy. Siergiejew i jego towarzysz podczas wypełniania zdania >>>

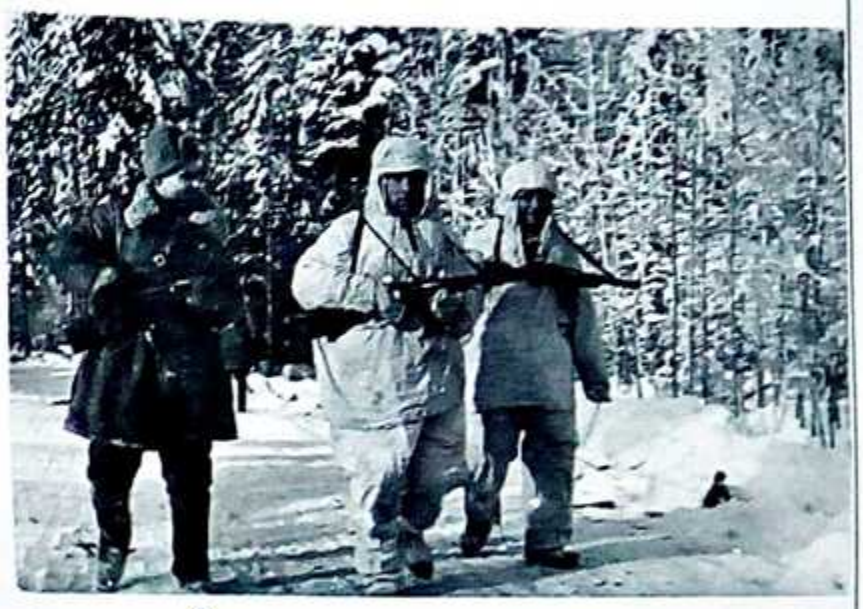

Grupa radzieckich zwiadowców.

Radzieccy zwiadowcy wracają z akcji.

Lotnisko w Jeleniej Górze – pocztówka ze zbiorów Zbigniewa Janca.

pocztówka ze zbiorów Zbigniewa Janca, fot. http://waralbum.ru/

>>> także natknęli się na siedmioosobowy patrol niemiecki. Doszło do starcia, w wyniku którego mieli zabić czterech Niemców, a trzech pozostałych wziąć do niewoli. Dostarczono ich do bazy, gdzie zostali przesłuchani przez dowódcę grupy, a następnie zlikwidowani.

Na zakończenie działań na tzw. głębokim zapleczu wroga zwiadowcy przeprowadzili jeszcze jedną, bardzo trudną i niebezpieczną misję – rozpoznanie jeleniogórskiego lotniska, położonego we wschodniej części miasta. Początkowo było to lotnisko cywilne, ale od 1939 roku zostało przejęte przez Luftwaffe i od tej pory pełniło funkcję lotniska wojskowego. Do wykonania akcji zgłosiło się dwóch zwiadowców, w tym doświadczony, starszy sierżant Siergiejew. Po zapadnięciu ciemności 24 lutego 1945 roku osiągnęli oni rejon lotniska. Główne rozpoznanie przeprowadził Siergiejew, który w ciągu nocy z 24 na 25 lutego 1945 roku, nie zważając na niemieckie patrole, miał dotrzeć do wszystkich sektorów lotniska. Według jego obliczeń, znajdowało się na nim 85 maszyn Luftwaffe, w tym 15 myśliwców, 40 bombowców, 30 samolotów transportowych. Po wykonaniu zadania obaj zwiadowcy bezpiecznie powrócili do leśnej bazy, gdzie zdali raport z przeprowadzonej akcji. Uzyskane informacje przekazano drogą radiową do sztabu 9 Korpusu Zmechanizowanego. Na reakcję radzieckiego dowództwa nie trzeba było długo czekać. 25 lutego nad jeleniogórskim lotniskiem pojawiły się radzieckie samoloty, które je ostrzelały i zbombardowały. Efekty ataku sprawdzili zwiadowcy z Siergiejewem na czele. Z jego podkoloryzowanego i niezbyt wiarygodnego meldunku wynika, że atak radzieckiego lotnictwa spowodował zniszczenie 7 myśliwców, 12 bombowców i sporej ilości samolotów transportowych. Dokładnej liczby zniszczonych maszyn Luftwaffe nie zdołano ustalić, ze względu na to, że nad lotniskiem unosiła się spora chmura dymu. W monografii Jeleniej Góry także pojawia się wzmianka o radzieckim nalocie na miasto w dniu 25 lutego 1945 roku, ale miał on nie wyrządzić większych strat materialnych.

Pieczątka 50 Samodzielnego Pułku Motocyklowego.

Ta akcja była ostatnią jaką przeprowadziła grupa zwiadowców w rejonie Jeleniej Góry. 27 lutego 1945 roku cała siódemka bez strat przeszła linię frontu, najprawdopodobniej na odcinku Sobota – Dłużec i dotarła do radzieckich pozycji. Ich działania zostały wysoko ocenione przez dowództwo. Zapewne wszyscy zostali odznaczeni. Wiadomo, że starszy sierżant Wasilij Siergiejew, młodszy sierżant Anatolij Paschałow, szeregowiec Nikołaj Frołow zostali nagrodzeni Orderem Sławy 3 klasy.

Niewiele natomiast wiadomo o działaniach drugiego zespołu zwiadowców 100 Samodzielnego Batalionu Motocyklowego. Z lakonicznych informacji wiadomo, że operował on na obszarze Wleń – Jelenia Góra w okresie od 24 lutego do 1 marca 1945 roku. Linię frontu przekroczył w rejonie Mojesza koło Lwówka Śląskiego, a jego główne zadanie polegało na zgromadzeniu danych odnośnie niemieckich sił i transportów wojskowych na odcinku Wleń-Jelenia Góra. Udało się ustalić personalia tylko jednego zwiadowcy tego zespołu. Należał do niego starszy szeregowiec Aleksiej Iwakin, który między innymi z dwoma towarzyszami broni w dniu 26 lutego 1945 roku prowadził wielogodzinną obserwację ruchów niemieckich wojsk z rejonu Jeleniej Góry w kierunku północnym i północno-zachodnim. Z ich ustaleń wynika, że tego dnia w kierunku linii frontu Niemcy skierowali między innymi blisko sześćdziesiąt ciężarówek z wojskiem, dziewięć transporterów opancerzonych oraz siedem czołgów. Inne działania tej grupy na chwilę obecną nie są znane.

Pieczątka 100 Samodzielnego Batalionu Motocyklowego.

Zwiadowcy z 4 Samodzielnej Zmotoryzowanej Kompanii Rozpoznawczej

Kierunek jeleniogórski w lutym 1945 roku rozpoznawali także zwiadowcy z innych formacji 3 Armii Pancernej Gwardii. Byli to na przykład żołnierze 50 Samodzielnego Pułku Motocyklowego podpułkownika Wieniamina Kalinina. Rozpoznawali oni ten kierunek przez kilka dni, poczynając od 23 lutego 1945 roku. Zwiadowcy pułku operowali na tyłach niemieckich w rejonie Bystrzycy i Wlenia.

Z pewnością okolice Jeleniej Góry w lutym 1945 roku były rozpoznawane przez zwiadowców z elitarnej 4 Samodzielnej Zmotoryzowanej Kompanii Rozpoznawczej, która podlegała Wydziałowi Rozpoznawczemu 1 Frontu Ukraińskiego. Liczący siedmiu ludzi zespół tej kompanii wyposażony w radiostację aktywnie działał na tyłach wroga, w odległości 20 km od linii frontu w rejonie Jeleniej Góry w dniach od 21 do 25 lutego 1945 roku. Znany jest skład grupy, na czele której stał starszy sierżant gwardii Leonid Rezanow (rocznik 1924). Należeli do niej: starszy sierżant Nikołaj Biesow (rocznik 1923), sierżant Władimir Koszel (rocznik 1925), sierżant Piotr Gudenec (rocznik 1918), szeregowiec Michaił Metrikow (rocznik 1923), szeregowiec Michaił Amanariew (rocznik 1925), sierżant Grigorij Riabow (rocznik 1920). Szczegóły misji nie są do końca znane. Wiadomo tylko, że efektem ich działania było zdobycie wielu cennych informacji o ruchach niemieckich kolumn i transportach wojskowych w rejonie Jeleniej Góry. W wyniku zorganizowanej zasadzki na kolumnę samochodów sztabowych zastrzelili pięciu Niemców i przejęli ważne dokumenty. Zaalarmowani Niemcy zorganizowali obławę, która wpadła na trop zwiadowców. Ci jednak, po zlikwidowaniu co najmniej jedenastu Niemców mieli

fot. http://jelenia_gora.fotopolska.eu/, pocztówka ze zbiorów Zbigniewa Janca

wyjść cało z opresji. Musieli jednak zakończyć zadanie. Ostatecznie zwiadowcy z 4 Samodzielnej Kompanii Rozpoznawczej szczęśliwie powrócili na pozycje radzieckie, a za okazane męstwo i odwagę odznaczono ich wysokimi odznaczeniami wojskowymi. Warto tu jeszcze wspomnieć o dramatycznym zdarzeniu, jakie miało miejsce w pierwszej połowie marca 1945 roku. Kilkudziesięciu żołnierzy tej kompanii zmarło w Bolesławcu po wypiciu zatrutego alkoholu...<

Maciej Szczerepa, Wojciech Szczerepa
Historycy, regionaliści i publicyści. Zainteresowania: działania militarne na Śląsku i Łużycach 1945 roku.

LITERATURA

ЦАМО, фонд: 33, опись: 690306, ед.хранения: 3026, № записи: 43131209, Приказ подразделения Nr 63/н z 03.04.1945 r.
ЦАМО, фонд: 33, опись: 686196, ед.хранения: 685, № записи: 46177555, Фронтовой приказ Nr 77/н z 11.06.1945 r.
ЦАМО, Журнал боевых действий 3 гв. ТА за период с 1.02 по 10.03.1945 r.

Jelenia Góra. Zarys rozwoju miasta pod redakcją Zbigniewa Kwaśnego, Wrocław 1989

PRIMKE ROBERT, SZCZEREPA MACIEJ, **Bóbr 1945. Za liniami wroga,** JELENIA GÓRA 2016

PRIMKE ROBERT, SZCZEREPA MACIEJ, SZCZEREPA WOJCIECH, **Wojna w dolinie Bobru. Bolesławiec-Lwówek Śląski-Jelenia Góra w 1945 roku,** Jelenia Góra 2009

URBAŃCZYK JACEK, **Lotnisko w Jeleniej Górze 1921-1945,** [w:] Rocznik Jeleniogórski XLII, Jelenia Góra 2010

Główny dworzec kolejowy w Jeleniej Górze – pocztówka ze zbiorów Zbigniewa Janca.

Panorama Jeleniej Góry.

„POCHMURNE LATO” i OPERACJA „DUNAJ”

ZWIADOWCY „WZBRANIAJĄ” RADIOSTACJE

RADOSŁAW SZEWCZYK

Jedyną operacją bojową żołnierzy 1. Batalionu Szturmowego (JW 4101) przed 1989 rokiem był udział w inwazji armii Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968. W czasie Operacji „Dunaj” legendarni zwiadowcy, ówcześni „specjalsi”, z dowództwa jednostki i dwóch jej kompanii zetknęli się z „zagrożeniem”, do neutralizacji którego nie byli wcześniej szkoleni. Zajęli się zwalczaniem czechosłowackiego oporu na falach eteru.

„Praska wiosna”, która rozpoczęła się w 1967 roku była okresem politycznej liberalizacji, zmierzającym do budowy „socjalizmu z ludzką twarzą” w Czechosłowacji. W następnym roku zapowiedziano ważne reformy, m.in. likwidację zarządu centralnego we wszystkich dziedzinach życia społecznego, kontrolę policji oraz wprowadzenie wolności słowa. Te posunięcia zaniepokoiły kierownictwa pozostałych krajów socjalistycznych, które próbowały wywierać nacisk na władze czechosłowackie. Mimo ustępstw z ich strony, kompromis był pozorny i nietrwały. Jednocześnie z próbami wywierania politycznej presji na Czechosłowację, używano nacisków o charakterze militarnym. Służyła temu seria manewrów przeprowadzonych wiosną i latem 1968 na terenie CSRS i wokół jej granic z udziałem armii państw Układu Warszawskiego. Ich celem było nie tylko zastraszenie Czechosłowaków, ale i przygotowanie się do realnej interwencji zbrojnej. 29 lipca rozpoczęły się wielkie manewry o kryptonimie „Pochmurne lato”, podczas których rozpoczęła się inwazja pod kryptonimem Operacja „Dunaj”. Oddziały radzieckie, polskie, węgierskie, bułgarskie i wschodnioniemieckie (te ostatnie, z powodu złych skojarzeń, szybko wycofano) przekroczyły granicę CSRS w nocy z 20 na 21 sierpnia.

Jako że armia czechosłowacka otrzymała rozkaz, niestawiania oporu, interwenci w ciągu doby osiągnęli wyznaczone cele i ograniczyli się do blokowania jej garnizonów. W pierwszym rzucie do CSRS wkroczyło 300 tysięcy żołnierzy wojsk Układu Warszawskiego, po kilku dniach liczba ta wzrosła do 800 tysięcy. Dysponowali oni 7500 czołgami, 2000 ciężkich dział oraz tysiącem samolotów transportowych i bojowych. Wśród interwentów znalazła się polska 2. Armia (dowódca gen. Florian Siwicki) sformowana na

bazie Śląskiego Okręgu Wojskowego. W jej skład weszły: 4. Pomorska Dywizja Zmechanizowana, 10. i 11. Dywizja Pancerna, 15. Pułk Wojska Obrony Wewnętrznej, 66. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej, 10. Pułk Łączności, 6. Pułk Zabezpieczenia Stanowiska Dowodzenia, 49. Pułk Śmigłowców, 7. Pułk Radioelektroniczny WSW, 1. Batalion Szturmowy, batalion WSW, 11. Batalion Rozpoznania Radioelektronicznego, 14. Batalion Radiotechniczny, 62. Kompania Rozpoznania Specjalnego i 11. Eskadra Lotnictwa Łącznikowego. Do zadań 2. Armii należało współdziałanie z Armią Radziecką w celu opanowania północnej części CSRS i zablokowanie jednostek Czechosłowackiej Armii Ludowej stacjonujących na tym terenie. Miała ona również przeciwdziałać jakimkolwiek próbom oporu i dywersji. W pierwszym rzucie granicę przekroczyły 10. i 11. Dywizja Pancerna. 25 sierpnia, w związku z niekorzystną dysproporcją sił w stosunku do armii czechosłowackiej, dołączyła do nich odwodowa 4. Pomorska Dywizja Zmechanizowana, a z Mazur do Kotliny Kłodzkiej przerzucono 6. Pomorską Dywizję Powietrzno-Desantową oraz 1 Pułk Czołgów z Warszawskiego Okręgu Wojskowego. 2 Armia operowała w północno-wschodnich Czechach, w rejonie Mlada Boleslav – Hradec Kralove – Pardubice. Na tym obszarze powołano 13 komend garnizonów, które miały usprawnić wykonywanie zadań okupacyjnych. Jak donosiła ówczesna propaganda, polscy żołnierze mieli stawić czoła rodzącej się u południowego sąsiada kontrrewolucji i odeprzeć ewentualny atak wojsk NATO z terytorium NRF.

Żołnierze 1. Batalionu Szturmowego byli wszechstronnie wyszkoleni.

Formą sprzeciwu społeczeństwa i żołnierzy czechosłowackich wobec interwentów był bierny opór. Już w pierwszych godzinach interwencji radzieccy spadochroniarze opanowali m.in. budynek rozgłośni radiowo-telewizyjnej w Pradze. Jednak rolę centralnej rozgłośni zaczęły przejmować lokalne stacje. Jako ostatnią z oficjalnie działających państwowych stacji radiowych interwenci zdobyli rozgłośnię w Pilźnie, gdzie program nadawano aż do momentu, gdy radzieccy żołnierze sforsowali drzwi do studia. Rolę zamkniętych państwowych rozgłośni zaczęli przejmować krótkofalowcy-amatorzy, którzy nadawali niezależne audycje radiowe potępiające >>>

Fot. Archiwum Wojskowe w Oleśnicy

>>> interwencję. Była to jedna z form biernego oporu. Korzystano z różnego rodzaju radiostacji, w tym również wojskowych środków łączności udostępnionych przez tamtejszą armię. Po przejęciu władzy przez komunistów w 1948 roku na całym terytorium Czechosłowacji rozpoczęto sukcesywną budowę zamaskowanych obiektów, które przygotowywano na wypadek ewentualnej wojny z „obozem kapitalistycznym". Były to składy broni, żywności, a także zapasowe węzły łączności. Te ostatnie instalacje rozmieszczono przede wszystkich w leżących na zachodzie Czechach, miały one nadawać komunikaty w przypadku „agresji państw NATO". Rozgłośnie były tak konstruowane i rozmieszczane, aby utrudnić ich lokalizację. Strona radziecka oraz pozostałe państwa Układu Warszawskiego nie znały położenia tych obiektów, ponieważ były zbudowane i zarządzane przez stronę czechosłowacką. Wiele wskazuje na to, że na początku wkraczające wojska Układu Warszawskiego nie były przygotowane na przeciwdziałanie takiej formie oporu. Ta propaganda stanowiła poważny problem dla sił okupacyjnych, dlatego podjęto próby (nie zawsze udane) lokalizacji i unieruchomienia nadajników. Dopiero później, po kilku dniach interwencji, zaczęto sprowadzać ze Związku Radzieckiego i z Polski środki techniczne, które miały służyć ustaleniu dokładnych miejsc nadawania tych radiostacji, szczególnie mobilnych.

Polscy „specjalsi" podczas działań w CSRS, na miejsca akcji byli transportowani głównie śmigłowcami Mi-8.

Zwiadowcy wkraczają do akcji

Zwalczaniem czechosłowackiego biernego oporu w eterze zajmowali się także polscy żołnierze z 1. Batalionu Szturmowego. Ta utworzona w 1961 roku jednostka zajmowała się dalekim rozpoznaniem i działaniami specjalnymi np. dywersją. W Archiwum Wojskowym w Oleśnicy (AWO) zachowała się teczka zatytułowana: „Rozkazy, zarządzenia, sprawozdania, meldunki, dokumenty szkoleniowe, protokóły rozkazy ćwiczenie »Pochmurne lato«". z 1. Batalionu Szturmowego. Dowiadujemy się z niej, jakich sił i środków z jednostki użyto w inwazji na Czechosłowację.

Ówczesny stan osobowy liczył: 35 oficerów, 24 podoficerów oraz 230 szeregowców. Uzbrojenie etatowe obejmowało: 3 rkm D (ręczne karabinki maszynowe Diegtiariowa – RPD), 137 kbk AK, 5 sztuk kbk AK GN (7,62 mm karabinek-granatnik wz. 60), 3 sztuki granatników przeciwpancernych RPG-7, 36 pistoletów P-64 oraz 40 pistoletów TT wz 33.

1. Batalion Szturmowy po otrzymaniu rozkazu o udziale w Operacji „Dunaj" transportem kolejowym przemieścił się ze swojego garnizonu w Dziwnowie do Świdnicy na Dolnym Śląsku pod koniec lipca 1968 roku. 30 lipca dowódca batalionu otrzymał rozkaz od dowódcy 2. Armii wydzielenia 1. kompanii szturmowej i podporządkowania jej 10. DPanc, a 2. kompanii szturmowej 11. DPanc. Po przekazaniu tych pododdziałów skład batalionu przedstawiał się następująco: dowództwo i sztab, kompania łączności, 3. kompania płetwonurków, 6. kompania rozpoznawcza, pluton transportowy oraz pluton gospodarczy.

Żołnierze z tych właśnie dwóch wspomnianych kompanii wsparci oficerami zajęli się zwalczaniem czeskiego oporu na falach eteru.

Już 21 sierpnia 1968 roku do opanowania radiostacji (stacji przekaźnikowej) Chloumek koło Melnika [w dokumentach podawana jest także lokalizacja Libĕchov – przyp. autor] przerzucono 6 grup zwiadowców śmigłowcami Mi-8 z 49. Pułku Śmigłowców. Całą akcją kierował dowódca 1. Batalionu Szturmowego ppłk Tadeusz Wendzel. Po ok. 20–25 minutach obiekt opanowano, a: „w celu uniemożliwienia dalszej pracy wyjęto kwarce i panele." – napisano w jednym z raportów sporządzonych po akcji.

Dzień później batalion otrzymał zadanie zdobycia i wyłączenia radiostacji (stacji przekaźnikowej) w Podiebradach. Wydzielono do tego 5 grup (4 grupy zwiadowców + grupa oficerów), które również na miejsce dostały się na pokładach śmigłowców Mi-8. W ciągu 30 minut po wylądowaniu radiostacja została opanowana, a w celu uniemożliwienia dalszej pracy wyjęto kwarce i panele.

23 sierpnia żołnierze 1. Batalionu Szturmowego otrzymali rozkaz opanowania aż czterech radiostacji w miejscowościach: Stěžery [w dokumentach zapisano jako Stieżerki – przyp. autor], Bříze [w polskich raportach Briza – przyp. autor], Trotina [w dokumentach określana jako: Trestina lub Trostina – przyp. autor] i Litomyšl-Pohodli [w dokumentach występuje jako Litomyśl – przyp. autor]. Wszystkie te miejscowości znajdowały się w odległości kilku-kilkunastu kilometrów od Hradec Kralove, gdzie stacjonował batalion.

Celem pierwszej akcji jak zapisano w dokumentach była: „radiostacja MSW". Cztery grupy zwiadowców oraz 5 oficerów jednostki udało się na miejsce drogą lądową. „W dniu 23.08.68 batalion otrzymał zadanie opanowania radiostacji w m. Stiżerki [Stěžery – przyp. autor] [i] Briza [Bříze koło Všestar – przyp. autor]. Do wykonania tego zadania wydzielono 4 grupy i 3 oficerów sztabu [w rzeczywistości 5 oficerów – przyp. autor]. W rejon działania grupy zostały przerzucone transporterami opancerzonymi. Radiostacje te zostały opanowane i wzbroniona praca przez wyjęcie kwarców i paneli." – zapisano w sprawozdaniu. Obiema akacjami dowodził kpt. Bielecki. W rejonie Trotina koło Smiřic radiostacja nie została odnaleziona mimo dokładnego przeszukania terenu przez grupy pod dowództwem por. Badonia. Prawdopodobnie była to przenośna radiostacja zamontowana na samochodzie i należąca do armii czechosłowackiej.

Te same grupy pod dowództwem Badonia skierowane zostały do zajęcia i: „wzbronienia pracy rdst. w m. Litomyszl. Do wykonania tego zadania wydzielono 2 grupy i 4 oficerów sztabu [lub 6 oficerów – przyp. autor]. Grupy w rejon działania zostały przerzucone śmigłowcem MI-8. (...) Po wylądowaniu radiostację opanowano w ciągu pół godziny i unieruchomiono ją.".

Tymczasem wg czeskich danych komandosi nie do końca byli skuteczni, ponieważ nie znali się dobrze na obsłudze tego typu urządzeń. Nadajnik Litomyšl-Pohodli po krótkiej przerwie wznowił emisję. Nadawanie z tego miejsca trwało do 9 września 1968 roku, choć jest wielce prawdopodobne, że wykorzystane zostały radiostacje samochodowe czechosłowackiej armii. >>>

Fot. Archiwum Wojskowe w Oleśnicy

>>> Ostatnim zadaniem związanym ze zwalczaniem oporu w eterze była akcja z 27 sierpnia. Batalion otrzymał wtedy zadanie rozpoznania i umiejscowienia oraz stwierdzenia charakteru pracy radiostacji znajdujących się w rejonie m. Hradec-Kralowe. Zwiadowcy ustalili wtedy 2 radiostacje.

Wnioski z działań

Podczas wszystkich działań przeciwko czechosłowackim stacjom nadawczym polscy „specjalsi" ani razu nie użyli broni. Zetknięcie się z nowego rodzaju obiektami, które przyszło opanować zwiadowcom, a także wyzwaniami, aby skutecznie unieruchomić urządzenia nadawcze, wywołało reakcję w dowództwie jednostki. Efektem tego były dwa dokumenty postulujące rozszerzenie zakresu szkolenia. Pierwszy datowany na 30 września 1968 roku ma następującą treść (zachowano pisownię oryginalną):

„Propozycje i wnioski wynikające z działania grup 1 Batalionu Szturmowego

W dniach 21–29.08.68 r. grupy ze składu 1 Batalionu Szturmowego brały udział w wykonywaniu różnych zadań w ćwiczeniu „Pochmurne Lato". Do najczęściej wykonywanych zadań należały:

– opanowanie i częściowe unieruchomienie pracy radiostacji, stacji przekaźnikowych przez demontaż niektórych podzespołów

(...) Z działań tych wypływają następujące wnioski.

Najistotniejszym momentem jest właściwy dobór żołnierzy do składu grupy oraz ich wyposażenie. W wypadku niszczenia radiostacji ilość grup będzie uzależniona od wielkości radiostacji i jej ochrony. Dotychczasowe doświadczenia wykazują, że radiostacje przekaźnikowe dużej i średniej mocy znajdują się poza miejscowościami i w zasadzie w terenie otwartym.

Teren otwarty podyktowany jest tym, że pole antenowe tego typu radiostacji wymaga dużej przestrzeni. Częściowe i całkowite niszczenie radiostacji średniej i dużej mocy winno się odbywać tylko w porze nocnej. Przed przystąpieniem do niszczenia konieczne jest dokładne rozpoznanie. Rozpoznanie tego typu radiostacji jest bardzo utrudnione ze względu na cały obszar zajmowany przez radiostację oraz z zasady silną ochronę. Na podstawie działań, które wykonywały grupy wynika, że obszar zajmowany przez radiostacje i pola antenowe wynosił średnio od 50 do 200 ha i więcej. Np. radiostacja dużej mocy m. LITOMYSZL. Ochronę radiostacji w zasadzie stanowili wartownicy cywilni w czasie pokoju, a w czasie działań grupy samoobrony wsparte pododdziałami wojska. Radiostacje dużej mocy chronione są przez oddział wojska stacjonujący na tym terenie. Grupa wykonująca niszczenia powinna się składać z co najmniej 15–20 zwiadowców.

W składzie grupy winno być dwóch, trzech zwiadowców-specjalistów znających tego typu radiostację oraz mieć na swym wyposażeniu zestawy do pracy pod wysokim napięciem oraz miotacze ognia. Specjaliści wchodzący w skład grupy są konieczni po to, aby po przeniknięciu w rejon radiostacji szybko i sprawnie wskazać najbardziej newralgiczne miejsca, które należy zniszczyć.

Celowe jest zniszczyć urządzenia zasilające w tym transformatory wysokiego napięcia oraz baterię akumulatorów, a ponadto bloki generatorów.

W wypadku otrzymania zadania uchwycenia radiostacji i wykorzystania jej do częściowej lub całkowitej pracy (nadawanie własnych programów na terenie nieprzyjaciela jest prawdopodobne wtedy, gdy w bardzo krótkim czasie podejdą wojska własne). Działania te będą celowe gdyż nieprzyjaciel wycofując się będzie dążył do zniszczenia radiostacji. Zadanie opanowania radiostacji w tym wariancie winno odbywać się nie w składzie grup lecz kompań. Ilość kompani uzależniona będzie od wielkości obiektu i odległości wojsk własnych. Kompanie te winny posiadać:

– Inżynierów i techników do natychmiastowego uruchomienia radiostacji średniej i dużej mocy

– Posiadać na wyposażeniu broń pancerną [raczej przeciwpancerną – przyp. autora]

– Zestawy do pracy pod wysokim napięciem

Radiostacje i stacje przekaźnikowe radiowe i telewizyjne oraz rozmieszczenie studii nadających programy winny być umiejscowione w okresie poprzedzającym działania na terenie przyszłych działań. Umiejscowienie i scharakteryzowanie tych obiektów winno się odbywać przez organa agenturalne oraz

---

W numerze „Odkrywcy" z listopada 2017 roku („Odkrywca" nr 11/2017), ukazał się fotoreportaż „Atomowy Kampinos. Tajemniczy relikt minionej epoki". Jednym z poruszonych w nim tematów był opis dawnego Stanowiska Dowodzenia Sił Powietrznych nieopodal miejscowości Złotkowo w woj. wielkopolskim. Obiekt ten znajduje się w bezpośredniej styczności z obszarem czynnego poligonu Biedrusko, który objęty jest całkowitym zakazem wstępu. W związku z tym, że istnieje możliwość nieświadomego naruszenia obowiązujących przepisów przez osoby nieuprawnione, prosimy o zwracanie bacznej uwagi na znajdujące się w okolicy tablice informacyjne i bezwzględne dostosowanie się do zawartych w nich ostrzeżeń i regulaminów. TEREN JEST NIEBEZPIECZNY.

Piotr Maszkowski, redaktor naczelny

stacje pelengacyjne dalekiego zasięgu i uzupełnione oraz potwierdzone przez miejscową ludność.

Radiostacje małe i średniej mocy stałe i przewoźne na terenie własnym i opanowanym będą wykrywane przez pododdziały rozpoznania systemów radioelektronicznych i specjalne Wojskowej Służby Wewnętrznej, które mają na swym wyposażeniu urządzenia pelengacyjne średniego zasięgu na samochodach oraz bliskiego przenośne.

Ze składu batalionu można wydzielić grupy do niszczenia tego typu radiostacji. W tym wypadku w składzie grupy winien się znajdować operator wraz z urządzeniem do wykrywania pracującej radiostacji.

Czasokres przygotowania grup do wykonywania tego typu zadań tj. niszczenia radiostacji dużej, średniej i małej mocy będzie różny. Jeżeli radiostacja dużej i średniej mocy będzie dokładnie rozpoznana w okresie poprzedzającym działania czasokres przygotowania grupy nie powinien przekraczać 2, 3 godzin. Natomiast jeżeli radiostacja nie będzie rozpoznana czasokres musi być większy ze względu na lepszy dobór ludzi do grupy, jej wyposażenie i uzyskanie dodatkowych danych.

Przerzut grup do niszczenia radiostacji na terenie nieprzyjaciela powinien odbywać się samolotami, rzadziej śmigłowcami. Natomiast do opanowania radiostacji tylko śmigłowcami ze względu na to, że pilot śmigłowca przy włączonej radiostacji własnej i pracującej nieprzyjaciela może dokładnie się ukierunkować i wysadzić pododdziały w pobliżu obiektu. Przy niszczeniu radiostacji małej i średniej mocy na terenie własnym i opanowanym jedynym środkiem przerzutu winny być śmigłowce. Konieczne to jest z tego względu, że radiostacje małej mocy i średniej będą najczęściej przewoźne. Operator urządzenia pelengacyjnego będzie mógł dokładnie umiejscowić pracującą radiostację a w razie zauważenia przez obsługę radiostacji zbliżającej się grupy szybko przerzucić grupę w rejon odjeżdżającej radiostacji.

Polscy żołnierze na lotnisku w Hrádec-Králové przy tzw. „propagandzie wizualnej".

Do wykonywania tego typu zadań winna być w składzie batalionu oprócz pododdziałów rozpoznawczych kompania lub pluton specjalny przy kompani łączności.

Program szkolenia tej kompanii lub plutonu powinien obejmować w szczególności tematykę z zakresu dobrej znajomości radiostacji stacjonarnych, i stacji telewizyjnych i przekaźnikowych oraz studii radiowych i telewizyjnych jak również urządzeń energetycznych itp. Ponadto program ten winien być ukierunkowany i dostosowany do wykonywania zadań wspomnianych w pierwszej części sprawozdania lub przydziału po kilku specjalistów z tej kompanii lub plutonu do grup, które będą działały na wspomniane wyżej obiekty.

Specjaliści podanej kompanii lub plutonu specjalnego winni >>>

fot. Archiwum Wojskowe w Oleśnicy

www.odkrywca.pl

>>> odbywać praktyki na radiostacjach stacjonarnych dużej mocy, stacjach telewizyjnych i przekaźnikowych pracujących w systemie ogólnokrajowym.

Dowódca 1 Batalionu Szturmowego

Ppłk dypl. Tadeusz Wandzel".

W drugim dokumencie z 1 października 1968 r. postulowano:

„Ocena i wnioski z zakresu organizacji wyposażenia poddoddziałów i sztabu 1 batalionu szturmowego

Jak wykazały ćwiczenia pod kryptonimem »Pochmurne lato« zarówno organizacja jak i wyposażenie 1 batalionu szturmowego nie zabezpiecza w pełni zadań tego typu jakie wykonywano na terenie CSSR. Przy opanowywaniu obiektów tego rodzaju co rdst. urządzenia energetyczne itp. konieczne są większe siły, ponieważ w wypadku oporu, pluton o obecnej organizacji (1+21), uzbrojony tylko w broń piechoty nie będzie w stanie wykonać postawionego zadania. Co się z tym wiąże batalion nie będzie w stanie wykonywać w jednym czasie większej ilości wskazane jest również przydzielenie wsparcia w postaci moździerzy lub dział bezodrzutowych, ponieważ w przeciwnym razie zostaną poniesione duże straty w sile żywej.

Przy wykonywaniu takich zadań bardzo poważną rolę spełnia element całkowitego zaskoczenia a to się z tym wiąże – dobór odpowiedniego środka przerzutu. Najbardziej do tego celu nadają się śmigłowce, które zabezpieczają szybki i niepostrzeżony przerzut w rejon obiektu, oraz wysadzenia desantu w odpowiednim miejscu. W wypadku niepowodzenia śmigłowce mogą być użyte do wycofania wojsk własnych. Wskazane jest, aby batalion miał podporządkowanych kilka śmigłowców ewentualnie możliwość korzystania z nich celem szkolenia wojska w desantowaniu. Przy opanowywaniu obiektów o skomplikowanej budowie konieczna jest w grupie szturmowej obecność specjalisty, który wskazał by elementy decydujące o sprawności całego obiektu. W przeciwnym wypadku grupa własnymi siłami nie jest w stanie unieruchomić go (bez zniszczenia całego obiektu). Utrzymywanie przez grupę obiektu powinno być jak najkrótsze. Wiąże się to z wyposażeniem w środki walki, zaopatrzenia, bytowania itp., oraz możliwością silnych kontrataków npla, których grupa, wyposażona w broń lekką, mogłaby nie powstrzymać. (...) Przy działaniu na radiostacje lub stacje telewizyjne powinny być przydzielone wozy pelengacyjne, które byłyby pomocne przy umiejscawianiu rdst. (...)

Dowódca 1 Batalionu Szturmowego

Pplk dypl. Tadeusz Wandzel".<

Żołnierze 1. Batalionu Szturmowego w kilku akcjach przeciwko czechosłowackim radiostacjom korzystali z transporterów opancerzonych SKOT.

1968. Czołgiem na Czechosłowację. Tadeusz Oratowski.

Opis przeżyć młodego oficera – świeżo upieczonego dowódcy plutonu czołgów, wzbogacony o refleksje na temat przypadających na przełom lat 1967/1968 realiów służby i życia wojskowego – w koszarach i na poligonach. Chociaż interwencja miała wymiar tragiczny, to nie brakowało w nim elementów humorystycznych, które Oratowski chętnie przytacza.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

BIBLIOGRAFIA:

ŹRÓDŁA ARCHIWALNE:
Archiwum Wojskowe w Oleśnicy (AWO) sygn. AWO 874-6415/16/1, 1 Batalion Szturmowy „Rozkazy, zarządzenia, sprawozdania, meldunki, dokumenty szkoleniowe, protokóły rozkazy ćwiczenie „Pochmurne lato"."

LITERATURA:
KALOUS J., Reakcje społeczeństwa czechosłowackiego na udział Polski w interwencji 1968 roku [w] Wokół Praskiej Wiosny Polska i Czechosłowacja w 1968 roku, pod red. Ł. Kamińskiego, Warszawa 2004
POVOLNY DANIEL, Vojenské řešeni Pražského jara, d. I, Praha 2008
PIOTROWSKI P., Udział Wojska Polskiego w interwencji w Czechosłowacji [w] Wokół Praskiej Wiosny Polska i Czechosłowacja w 1968 roku, pod red. Ł. Kamińskiego, Warszawa 2004
SZEWCZYK R., Z bratnią pomocą do Czechosłowacji, Wojna revue nr 9-10/2017 s. 30-34

Radosław Szewczyk

Historyk, dziennikarz, pracownik Archiwum Wojskowego w Oleśnicy.

MORSKI DYWIZJON ARTYLERII PRZECIWLOTNICZEJ W GDYNI

KAMIL SARAPUK

Początek powstania dywizjonu sięga roku 1928, kiedy to kmdr. ppor. Heliodor Laskowski, będący szefem Służby Artylerii i Uzbrojenia KMW, zakupił z Francji 14 armat przeciwlotniczych kalibru 75 mm Schneider wz. 22/24.

Stanowisko ogniowe 2. Baterii „Redłowo", w tle folwark pełniący funkcje koszar baterii.

W wyniku postanowień Traktatu Wersalskiego, nowo powstająca II Rzeczpospolita otrzymała odcinek wybrzeża o długości 144 km, licząc obwód Mierzei Helskiej. Pomimo że Marynarka Wojenna formalnie „na papierze" istniała już od 28 listopada 1918 roku, początkowo nie posiadała żadnej jednostki ani bazy morskiej. Już w czerwcu 1920 roku inż. Tadeusz Wenda wspominał w swoim sprawozdaniu z oględzin wybrzeża „(...) najdogodniejszym miejscem do budowy portu wojennego (jak również w razie potrzeby handlowego) jest Gdynia, a właściwie nizina między Gdynią a Oksywą, położoną w odległości 16 km od Nowego Portu w Gdańsku", a już w 1921 roku trwała budowa tymczasowego portu wojennego w Gdyni. W 1926 roku baza floty w Gdyni całkowicie przejęła główne funkcje portu w Pucku, a w 1927 roku przeniesiono Warsztaty Portowe MW. Główna baza Polskiej Marynarki Wojennej stopniowo się rozwijała, lecz jak pisał kpt. mar. H. Laskowski „(...) baza służy dla floty, a nie flota dla bazy", dlatego w latach 20. powstawały pierwsze koncepcje ufortyfikowania Gdyni. Początkowo istniały one tylko w postaci planów. Pod koniec 1928 roku zlikwidowano dowództwo Obszaru Warownego Gdynia, powołując w powstałe miejsce Kierownictwo Fortyfikacji Wybrzeża Morskiego, a od 1.08.1931 roku Szefostwo Fortyfikacji Wybrzeża Morskiego, będące odpowiedzialne za realizacje większości inwestycji fortyfikacyjnych na terenie Gdyni. Pierwszą taką inwestycją zrealizowaną na terenie Gdyni była budowa dwudziałowej baterii nadbrzeżnej na Cyplu Oksywskim, której uzbrojenie stanowiły francuskie armaty Canet wz. 91/92 kal. 100 mm. Kosztem ok. 200 000 zł wybudowano dwa stanowiska ogniowe, dwa schrony dla amunicji wraz z wyciągiem do jej transportu oraz mały schron na podręczny zapas amunicji (warto wspomnieć, że w końcowym okresie służby bateria

fot. ze zbiorów: A. Ditricha i K. Sarapuka

ta podlegała pod omawiany w artykule 1. MDAPlot, lecz została wyłączona z opracowania, zasługując na osobne potraktowanie). W późniejszym czasie rozpoczęto budowę w pierścieniu wokół Gdyni 4 baterii przeciwlotniczych, które właściwie aż do września 1939 roku stanowiły trzon improwizowanego systemu fortyfikacji Gdyni.

GENEZA POWSTANIA DYWIZJONU

Początek powstania dywizjonu sięga roku 1928, kiedy to kmdr. ppor. Heliodor Laskowski, będący szefem Służby Artylerii i Uzbrojenia KMW, zakupił z Francji 14 armat przeciwlotniczych kalibru 75 mm Schneider wz. 22/24. Pierwotnie przeznaczone one były jako uzbrojenie głównej artylerii przeciwlotniczej dla kontrtorpedowców budowanych dla francuskiej marynarki wojennej. Pierwotnie 8 z zakupionych dział planowano ustawić na stojącym w gdyńskim porcie wojennym starym pancerniku, pełniącym funkcje hulka ORP Bałtyk (po 4 działa na dziobie i na rufie), tworząc tym samym „pływającą" baterię przeciwlotniczą obrony portu. Koncepcja ta nie była rozważnie przemyślana, gdyż zakładano ustawienie armat w jednym miejscu, pozbawiając pozostałych obszarów Gdyni jakiejkolwiek obrony przeciwlotniczej. Kolejnym argumentem za ustawieniem dział na lądzie, było to, że tego rodzaju „pływającą baterię" łatwo wyeliminować z walki, zatapiając okręt celnym zbombardowaniem lub ostrzałem artyleryjskim. Dlatego ostatecznie zadecydowano ustawić działa na lądzie, przeznaczając tym samym do obrony Gdyni 8 armat. W założeniach pozostałe 6 armat miały zostać wykorzystane do obrony budującej się bazy morskiej na Helu[1].

Za początek realizacji można uznać utworzenie z dniem 26 października 1931 roku kadry 9 Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej. Jego dowództwo mieściło się wówczas w małym drewnianym baraku zlokalizowanym naprzeciwko gmachu Dowództwa Floty, a pierwszym dowódcą dywizjonu został mjr. art. Leon Przybytko. We wrześniu 1932 roku obowiązki zastępcy dowódcy kadry 9. DAP objął mjr. art. Stanisław Krzywobłocki. Z dniem 1 kwietnia 1933 roku kadrę 9 DAP, rozkazem Szefa KMW kadm. Jerzego Świrskiego, przemianowano na Morski Dywizjon Artylerii Przeciwlotniczej. MDAPlot podlegał pod względem organizacyjnym bezpośrednio pod Kierownictwo Marynarki Wojennej, lecz pod względem obsady oraz wyszkolenia podlegał pod Wojska Lądowe. W tym czasie obsada dywizjonu liczyła: 24 oficerów, 2 chorążych, 93 podoficerów zawodowych i nadterminowych i 517 żołnierzy służby zasadniczej. W lipcu 1933 roku odbyła się pierwsza szkoła ognia z udziałem samolotów 4. Pułku Lotniczego z Torunia, która na ten czas stacjonowały na lotnisku w Rumi. Strzelania do rękawa holowanego przez samolot wykonano ze stanowisk ogniowych 1. i 2. Baterii. Jednocześnie odbyto strzelania z ciężkich karabinów maszynowych 1. Baterii. Z dniem 1 listopada 1935 roku wraz z powstaniem 2 Morskiego >>>

DOWÓDCY DYWIZJONU

MJR. ART. LEON PRZYBYTKO
26.11.1931 R. – 17.08.1936 R.

MJR. ART. EUGENIUSZ KRÓLIKOWSKI
17.08.1936 R. – 11.06.1938 R.

KPT. ART. TADEUSZ PRZEWOSKI
(PEŁNIĄCY OBOWIĄZKI:
11.06.1938 R. – 7.07.1938 R.)

MJR. ART. STANISŁAW KRZYWOBŁOCKI
7.07.1938R. – 1.09.1938 R.

KMDR. PPOR. STANISŁAW JABŁOŃSKI
1.09.1938 R. – 19.09.1939 R.

Stanowisko ogniowe 1. Baterii „Wąwóz Ostrowicki"

Stanowisko ogniowe 1. Baterii.

>>> Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej w Helu, Morski Dywizjon Artylerii Przeciwlotniczy w Gdyni przemianowano na 1 Morski Dywizjon Art. Plot. 1 kwietnia 1938 roku decyzją ministra spraw wojskowych 1 MDAPlot został wcielony do Marynarki Wojennej oraz opracowano nową strukturę organizacyjną. Od tego czasu dywizjon bezpośrednio podlegał pod Morską Obronę Wybrzeża i miał charakter samodzielnej jednostki pod względem dowodzenia taktycznego i jako jednostka administracyjno-gospodarcza.

głównej składnicy amunicyjnej MW w Wąwozie Ostrowickim,

b) 2. Bateria w dzielnicy Redłowo w bezpośrednim sąsiedztwie folwarku „Redłowo",

c) 3. Bateria w dzielnicy Grabówek na wzniesieniu zwanym górą św. Bernarda,

d) 4. Bateria w dzielnicy Pogórze.

W pierwszej kolejności wybudowano stanowiska ogniowe, których plany budowlano-konstrukcyjne zostały opracowane w Szefostwie Fortyfikacji Wybrzeża Morskiego.

Schron amunicyjny 4. Baterii „Pogórze".

BUDOWA BATERII

W 1932 roku komisja w składzie z mjr. sap. Rudolfem Fryszowskim z Szefostwa Fortyfikacji Wybrzeża Morskiego oraz z mjr. art. Leonem Przybytko i mjr. art. Stanisławem Krzywobłockim z 9. DAP na polecenie Dowódcy Floty kadm. Józefa Unruga dokonała studiów terenowych w celu ustalenia lokalizacji poszczególnych baterii. Cała koncepcja została zatwierdzona przez kmdr. por. Heliodora Laskowskiego – Szefa Służby Artylerii i Uzbrojenia KMW – i w tym samym roku rozpoczęto budowę czterech dwudziałowych baterii:

a) 1. Bateria w dzielnicy Oksywie w bezpośrednim sąsiedztwie

Armaty zostały ustawione na działobitniach na przełomie marca i kwietnia 1933 roku. W tym samym czasie rozpoczęto budowę dwukomorowych schronów amunicyjnych oraz koszar (w przypadku 2. Baterii na koszary zaadaptowano pobliskie zabudowania dawnego folwarku wykupionego w 1932 roku przez Marynarkę Wojenną). Szczegółowy projekt schronu amunicyjnego został opracowany w Szefostwie Fort.[2], zaś projekt koszar oraz dróg dojazdowych opracowało Szefostwo Budownictwa Wybrzeża Morskiego. Prace budowlane wykonała firma „W. Paszkowski, F. Próchnicki i S-ka". Do bezpośredniej obrony na każdej baterii ustawiono 2 ciężkie karabiny maszynowe (drużyna) z Plutonu Ciężkich Karabinów Maszynowych. Każda z baterii również została zaopatrzona w sieć wodociągową oraz elektryczną. Na początku 1935 roku przystąpiono do budowy koszar centralnych dla Morskiej Kompanii Reflektorów Przeciwlotniczych, Plutonu Łączności oraz dla Plutonu Ciężkich Karabinów Maszynowych, które zlokalizowano w pobliżu granicy Obłuża i Oksywia, obok osiedla bloków mieszkalnych Paged (obecna ul. Benisławskiego). Koszary oddano do użytku tego samego roku, a ich projekt wykonał inż. arch. Makowiecki, pod nadzorem kmdr. ppor. inż. Tadeusza Kinela. Latem 1938 roku planowano sformować półstałą 5. Baterię plot. uzbrojoną w 4 plutony po 2 działa Bofors wz. 36 kal. 40 mm. Plan ten jednak do wybuchu wojny nie został zrealizowany[3]. W tym samym czasie również planowano budowę schronu dla punktu obserwacyjnego, centrali strzelniczej, telefonicznej, radiostacji oraz dla posterunku dla planowanego Plutonu Dozorowania Przeciwlotniczego. Schron planowano zlokalizować na Oksywiu, w miejscu gdzie znajdowała się drewniana wieża punktu obserwacyjnego dywizjonu (dzisiaj okolice radiostacji). Za opracowanie projektu konstrukcyjno-budowlanego odpowiedzialne było Szefostwo Fortyfikacji Wybrzeża Morskiego, plan ten jednak również nie został urzeczywistniony.

UZBROJENIE DYWIZJONU ORAZ SYSTEM KIEROWANIA OGNIEM

Główne uzbrojenie 1 MDAPlot stanowiło 8 uniwersalnych armat przeciwlotniczych produkcji francuskiej Schneider wz. 22/24 kalibru 75 mm. Długość lufy wynosiła 50 kalibrów, maksymalna donośność pozioma 14 600 m, pionowa 6000–8000 m, przy czym skuteczna donośność wynosiła 8 500 m – pozioma, 5 000 m – pionowa.

fot. ze zbiorów: A. Ditricha i K. Sarapuka

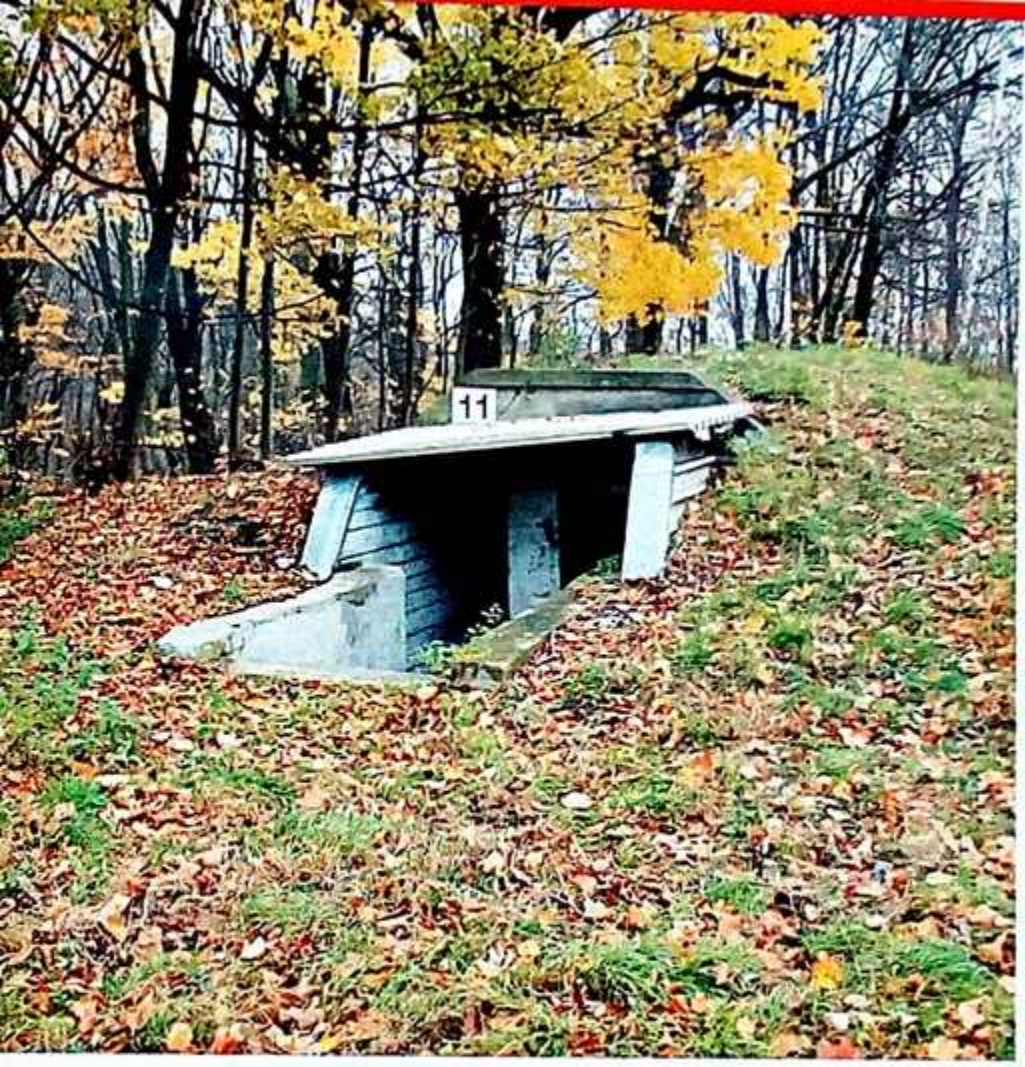

Prędkość początkowa pocisku wynosiła 850 m/s. Teoretyczna szybkostrzelność wynosiła 15 strzałów na minutę, praktyczna szybkostrzelność wynosiła jednak ok. 8 strzałów na minutę. Za obsługę dział na każdej baterii odpowiadała linia ogniowa składająca się z dwóch działonów. Za obsługę przyrządów kierowania ogniem odpowiadała drużyna pomiarowa. Urządzenia kierowania ogniem w skład których wchodził: dalmierz stereoskopowy o bazie 3 m, szybkościomierz, odległownica oraz luneta obserwacyjna, ustawione były w zagłębieniach terenowych ochronionych faszyną w odległości ok. 30 m za stanowiskami. W lipcu 1933 roku przeprowadzono na 1. Baterii próby przeciwlotniczego aparatu centralnego PZO-Lev, zakończone pomyślnie. W późniejszym czasie planowano zastąpić istniejący system kierowania ogniem (degradując go do roli zastępczego), wprowadzając na stan każdej baterii przyrząd centralny PZO-Lev. Dopiero na wiosnę 1939 roku na 1 MDAPlot otrzymał jeden egzemplarz, który ustawiony został na 1. Baterii.

OPIS BUDOWLI FORTYFIKACYJNYCH ORAZ OBIEKTÓW ZAPLECZA

Stanowiska ogniowe posiadały formę betonowych podstaw, otoczonych przedpiersiem o kształcie nieregularnego sześciokąta. W przedpiersiu ukrytych było 7 nisz amunicyjnych, z czego 1 była przeznaczona dla zapalników. Nisze dla zapalników oznaczane były literą „Z" w trójkącie malowaną na przedpiersiu nad daną niszą. Doskonale jest to widoczne na archiwalnych zdjęciach wykonanych zaraz po zajęciu Gdyni. Można wyróżnić dwie odmiany stanowisk: pierwsza w 1. Baterii (z parapetem nad niszami), druga w 2., 3. i 4. Baterii (bez parapetu). Warto wspomnieć, że w celu ochrony przed obserwacją „nakładano" na działobitnie kopuły wykonane z blachy, w tym samym celu na 3. i 4. Baterii wykonano dodatkowe stanowiska pozorne. Na każdej baterii stanowiska dzieliło ok. 30–35 m odległości. Na 1. Baterii „Wąwóz Ostrowicki" obok stanowisk wybudowano mały schron dla załogi, z blachy falistej (relikty podobnych budowli można znaleźć na 21. oraz 23. Baterii 2 MDAPlot w Helu). Nie stwierdzono czy na pozostałych bateriach również wzniesiono podobne konstrukcje. Na każdej baterii[4] wybudowany został również schron amunicyjny na 1000 pocisków konstrukcji żelbetowej. Grubość ścian zewnętrznych oraz stropu schronu wynosiła 100 cm, co czyniło schron odpornym na wielokrotne trafienie pociskiem kalibru 105 mm oraz pojedyncze trafienie pociskiem kalibru 155 mm. Obiekt był w taki sposób wkomponowywany w teren, aby widoczna była jedynie elewacja wejściowa. Wejście prowadziło do przedsionka, z którego można było przejść do dwóch komór amunicyjnych. W przedsionku o wymiarach 990 cm x 115 cm mieściły się 4 wnęki dla amunicji specjalnej, położone symetrycznie po dwie z każdej strony wejścia. Dwie komory amunicyjne o wymiarach 480 cm x 300 cm były ograniczone ścianami wewnętrznymi o grubości 100 cm. Obiekt izolowany był poprzez wąski korytarz powietrzny o szerokości 60 cm. Oświetlenie schronu stanowiły 4 lampy umieszczone w niszach po obu stronach wejść >>>

Schron załogi 1. Baterii „Wąwóz Ostrowicki".

Oryginalne zachowane drzwi schronu amunicyjnego 1. Baterii „Wąwóz Ostrowicki".

>>> do komór amunicyjnych. Każda bateria (pomijając 2. Baterię „Redłowo") otrzymała również koszary na 100 osób, składające się z dwóch budynków: właściwy o kubaturze 1982 m^3 oraz gospodarczy o kubaturze 1061 m^3. Pierwszy właściwy budynek koszarowy mieścił salę żołnierską, kancelarię, pokój szefa, pokój dla starszych podoficerów, magazyn podręczny, ustęp oraz umywalnię z natryskami. Drugi gospodarczy budynek mieścił kuchnię, jadalnię, magazyn, dwa pokoje oficerskie.

Warto również wspomnieć o koszarach centralnych na Obłużu, składających się z budynku garażowego, koszarowego oraz 3 stacji benzynowych. Budynek garażowy o długości 140 m od strony południowej mieścił garaże naprawcze z dołami wraz z warsztatem, zaś od strony północnej mieściły się garaże Morskiej Kompanii Reflektorów Przeciwlotniczych. Dwukondygnacyjny budynek koszarowy mieścił salę żołnierską, jadalnię, kuchnię, umywalnię, pokoje oficerskie oraz magazyny. Cały kompleks został ogrodzony.

ZAKOŃCZENIE

O ile obrona przeciwlotnicza Helu została pobieżnie opracowana w kilku wydawnictwach, o tyle Gdynia zawsze pozostawała w cieniu. Co prawda ukazało się kilka publikacji, w których poruszano temat 1. Morskiego Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej, odbywało się to jednak na zasadzie wzmianek. Niestety forma artykułu nie pozwala na wyczerpanie tematu, a niniejszy tekst stanowi jedynie zaczątek nieopracowanego nigdy tematu i stanowi bazę dla autora do dalszych badań. <

Zamaskowane stanowisko ogniowe 3. Baterii „Grabówek".

Kamil Sarapuk
Badacz polskich fortyfikacji nadbrzeżnych z okresu przedwojennego oraz powojennego, w zakresie jego zainteresowań znajdują się również niemieckie fortyfikacje na Pomorzu.

LITERATURA

RAFAŁ WITKOWSKI, „Hel na straży wybrzeża 1920-1939".
STANISŁAW KRZYWOBŁOCKI, „Relacja z przebiegu służby majora artylerii na Wybrzeżu w 1932 – 1938 r.".
STANISŁAW JABŁOŃSKI, „Dzieje 1 MDAPlot"
TADEUSZ KINEL, „Moje wspomnienia z okresu służby w Marynarce Wojennej w latach 1931 – 1947".
HENRYK WAGNER, „Relacja bez tytułu (sprawozdanie z służby w Marynarce Wojennej)".

PRZYPISY

[1] Pozostałe 6 armat Schneider wz. 22/24 kal. 75 mm w późniejszym czasie stanowiły główne uzbrojenie 2 MDAPlot na Helu.
[2] Szefostwo Fortyfikacji Wybrzeża Morskiego.
[3] W trakcie obrony Gdyni 1. MDAPlot, został dozbrojony w 6 dział Bofors wz. 36 kal. 40 mm pozbawione celowników i przeznaczone na eksport do Anglii. Ze znalezionych 8 dział, pozostałe 2 trafiły do 2. MDAPlot, gdzie utworzyły 5. Pluton 24. Baterii, prowizoryczne celowniki do tych dział wykonały Warsztaty Portowe MW.
[4] Na 2. Baterii „Redłowo" w terenie obecnie nie można znaleźć żadnego śladu po magazynie amunicyjnym, ppor. inż. Henryk Wagner w swojej relacji wspomina, iż bateria „redłowska" nie otrzymała schronu dla amunicji. Informacja ta jednak nie ma pokrycia w relacji mjr. art. Stanisława Krzywobłockiego, która z punktu widzenia autora wydaje się bardziej rzetelna.

fot. ze zbiorów: A. Ditricha i K. Sarapuka

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl
POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA
JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK
DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

WOJNA OD STRONY KUCHNI CZ. 29

WOJNA KOLEKCJONERÓW

TOMASZ BIENEK

Poszukiwanie i kolekcjonowanie militariów ma obecnie dzięki internetowi charakter globalny, a obszary pozyskiwania przedmiotów do kolekcji rozciągają się od porośniętych lasem pobojowisk Rosji po domy aukcyjne w USA. Coraz większy zasób fachowej literatury, internetowe fora, rekonstrukcyjne imprezy czy setki muzeów to z kolei potężne zaplecze kolekcjonerskiego świata, ale skąd wziął się ten fenomen gromadzenia żołnierskich przedmiotów codziennego użytku? Otóż hobby to wymyślili sami żołnierze II wojny światowej i to w trakcie jej trwania – stając się pierwszą generacją poszukiwaczy militariów.

Posiadanie starych, oryginalnych militariów zawsze było powodem do dumy. W minionych wiekach pieczołowicie przechowywane zbroje lub miecze, odziedziczone po przodkach, stanowiły ozdobę niemal każdej szlacheckiej rezydencji. Były to jednak częściej dowody patriotyzmu, szacunku dla tradycji i świadectwo zasług konkretnego rodu niż typowa kolekcja. Broń białą, mundury i ordery jako pamiątki po zasłużonych

członkach rodziny otacza się czcią także i dzisiaj. Jednak o ile medal czy lornetka „po dziadku" zawsze miały elitarną pozycję, chroniącą przed wylądowaniem w śmietniku, to przeważająca część substancji nazywanej obecnie militariami już tego szczęścia nie miała. Kubki, plecaki, menażki, sztućce czy pudełka i pojemniki tysięcy odmian i modeli mogły być ewentualnie ocalone przez nową rolę w życiu cywilnym, ale po niechybnym zużyciu czekało je wysypisko odpadków albo skup złomu – lub w najlepszym wypadku dające jakąś szansę przetrwania piwnica lub strych. Jeszcze ok. 25 lat temu artefakty żołnierskiej prozy życia traktowano raczej z przymrużeniem oka – oczywiście obecnie o odejściu od tej tendencji świadczą choćby ceny tych przedmiotów na kolekcjonerskim rynku. Jednak dużo wcześniej, zanim militaria te przeżyły swój renesans, chciwie wypatrywały ich oczy zbieraczy w mundurach, dla których giełdą było każde pobojowisko. To, co zbierali żołnierze, nie różniło się tematycznie od przedmiotów pozyskiwanych przez dzisiejszych kolekcjonerów.

Polski żołnierz zbieracz

Dla wielu polskich żołnierzy kolekcjonerska przygoda zaczęła się w piaskach Pustyni Libijskiej. Walczący tam Polacy z Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich natykali się na porzucony lub zgubiony sprzęt wojsk Osi. Aby rozpocząć kolekcjonowanie, wystarczyło się rozejrzeć po okolicy, a zbieranie najróżniejszych przedmiotów szybko stało się wśród żołnierzy rodzajem mody.

„Tych pudełek po papierosach niemieckich i włoskich, po zapałkach, opakowań od czekolady, walających się po pustyni banderoli od piwa, konserw itp. spotykaliśmy mnóstwo podczas ofensywy: pod El Adem, potem pod Gazalą i dalej – opisuje Janusz Jasieńczyk w swoich wspomnieniach „Po Narviku był Tobruk". – Weszły one w skład bambetli, bo każdy prawie w Brygadzie był trochę kolekcjonerem. Już od pierwszych dni pobytu w Tobruku obserwowałem powolne rozszerzanie się zaraźliwej manii kolekcjonowania najrozmaitszych, nikomu niepotrzebnych, a czasami kłopotliwych w transporcie, przedmiotów".

Weteran, choć sam przyznaje, że początkowo uznawał hobby kolegów za rodzaj nieszkodliwego dziwactwa, sam szybko także założył własną kolekcję.

„Z początku pobłażliwie i z niedbałą wyższością spoglądałem na to dziwaczne zbieranie pudełek od zapałek, opakowań od papierosów, nalepek od konserw. Ale gdy w naszym zasięgu pojawiły się ślady wyrobów nieprzyjacielskich, gdy do kolekcji Skuczonia przybył włoski siłacz, podnoszący na pudełku od zapałek olbrzymie kule żelazne, a potem apetyczna butelka jakiegoś płynu z napisem Milano i dźwięcznym zapytaniem »Volete la salute?« i wreszcie uśmiechająca się z naklejki piękna włoska dziewczyna, wznosząca toast pomarańczowej barwy trunkiem wyrobu Pellegrino – wówczas i ja uległem niebezpiecznej manii. Aby nie być bitym przez starych zbieraczy musiałem cofnąć się wstecz: uzupełnić swą serię starymi, angielskimi okazami – wyznaje nasz weteran. – Do moich bambetli przybył w ten sposób plik wielobarwnych reklamowych druków. Aby nie ośmieszać się wobec siebie samego, dorobiłem sobie teorię, że to wszystko gromadzę dla brata grafika jako materiał do przyszłych jego kompozycji. Ale w takim razie, jakim cudem znalazły się w moim plecaku wygrzebane gdzieś w rowie pod Gazalą dziwaczne karty włoskie, zawierające jedenastki, dwunastki i trzynastki we wszystkich kolorach?".

Żołnierskie trofea trzymano w puszkach po papierosach i wszelkiego rodzaju łatwych do zdobycia pojemnikach. Pojemnik na zapalnik do bomby lotniczej mógł być idealny do przechowywania kolekcji.

Im dany przedmiot bardziej symbolizował kulturę znienawidzonego wroga, tym bardziej był poszukiwany. Japońskie czarki do sake były na czołowych miejscach pożądanych w kolekcji przedmiotów, a ich różnorodność sprzyjała zbieractwu.

Starożytne relikty

Kolekcjonerskiej pasji sprzyjała spora liczba wykształconych osób, którzy jako żołnierze znaleźli się na Bliskim Wschodzie. Dzięki historycznej wiedzy zdawali sobie sprawę, że tereny Iraku, Palestyny, Egiptu i Libii to obszary obfitujące w relikty starożytnych cywilizacji, a natykali się na nie codziennie. Podczas rozstawiania namiotów, kopania schronów czy budowy okopów co rusz znajdowano antyczne figurki, oliwne lampki, flakony, ceramikę, groty strzał, biżuterię, ozdoby i inne przedmioty codziennego użytku sprzed tysięcy lat. Znajdowano też starożytne monety, które szybko stały się kolejnym obszarem żołnierskiego kolekcjonerstwa. Specyfika zajmowanych obszarów obfitowała w pieniądze rzymskie, arabskie, fenickie. Liczące tysiące lat artefakty trafiały do żołnierskich chlebaków i plecaków, często spakowane do pojemników po papierosach lub puszkach po konserwach. Długi okres stacjonowania Polaków na interesującym archeologicznie obszarze i oddanie kolekcjonerskiej pasji doprowadziły do stworzenia

>>>

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

>>> niesamowitych zbiorów. Kolekcje te dopiero niedawno ujrzały światło dzienne.

Nasze muzeum na wschodzie

Od 1944 roku żołnierskie zbiory przechowywane były w tzw. Muzeum Polskim w Jerozolimie, opiekował się nimi duchowny, ks. Stefan Jabłonowski-Pietruszka. Niewielka część przedmiotów była wyeksponowana przy stacjach drogi krzyżowej, resztę kolekcji przechowywały zakonnice z Nowego Domu Zgromadzenia Sióstr św. Elżbiety w Jerozolimie. W 2015 roku zbiór trafił do Ambasady RP w Tel Awiwie, skąd rok później przywieziony został do Muzeum Narodowego w Krakowie. W momencie gdy zabytki te trafiły do kraju, wiele z nich wciąż znajdowało się w blaszanych puszkach z czasów wojny, które same stanowią obecnie obiekt kolekcjonerskich poszukiwań. Żołnierskie zbiory to ok. 12 tysięcy monet i prawie tysiąc innych zabytków archeologicznych. Muzealnicy oceniają, że aby stworzyć taki zbiór, kolekcjonowaniem starożytnych artefaktów musiało zajmować się kilka tysięcy żołnierzy. Należy też jasno stwierdzić, że nie wszystko, co znaleźli żołnierze, zostało w Jerozolimie – zapewne niektórzy co cenniejsze lub ulubione antyki zabrali ze sobą.

Wśród alianckich żołnierzy do najwyżej cenionych należały typowo nazistowskie artefakty. Na zdjęciu niewielki lampion NSDAP i papierowa chorągiewka III Rzeszy.

Najlepiej na froncie

Tymczasem działania na froncie sprzyjały rozwojowi prywatnych kolekcji militariów. Różnorodność pudełek, puszek i pojemników po rozmaitych produktach, jakie można było znaleźć na pustyni, zachęcała do zbierania. Zdarzały się tam opakowania włoskie i niemieckie, ale też pochodzące z okupowanych krajów, oraz alianckie – angielskie, australijskie, pochodzące z Indii. Szybko nauczono się rozróżniać co rzadsze okazy, o czym świadczy relacja Janusza Jasieńczyka:

„Któregoś dnia Skuczoń, spostrzegłszy w moich rękach jakieś australijskie zapałki, rzucił się na nie jak jastrząb na upatrzonego kurczaka. Zaraz przyniósł mi nową paczkę zapałek i błagał o moje, twierdząc, że są mu potrzebne do kolekcji. Potem z dumą wyciągnął z plecaka swój zbiór,

Zapierające dech w piersiach batalistyczne obrazy Hansa Lishki zrobiły wrażenie na polskim żołnierzu, który zabrał na pamiątkę hitlerowski album, opisując go na pierwszej stronie „znaleziony w domu gdzie kwaterowałem, (nazwisko nieczytelne) sierż. WP".

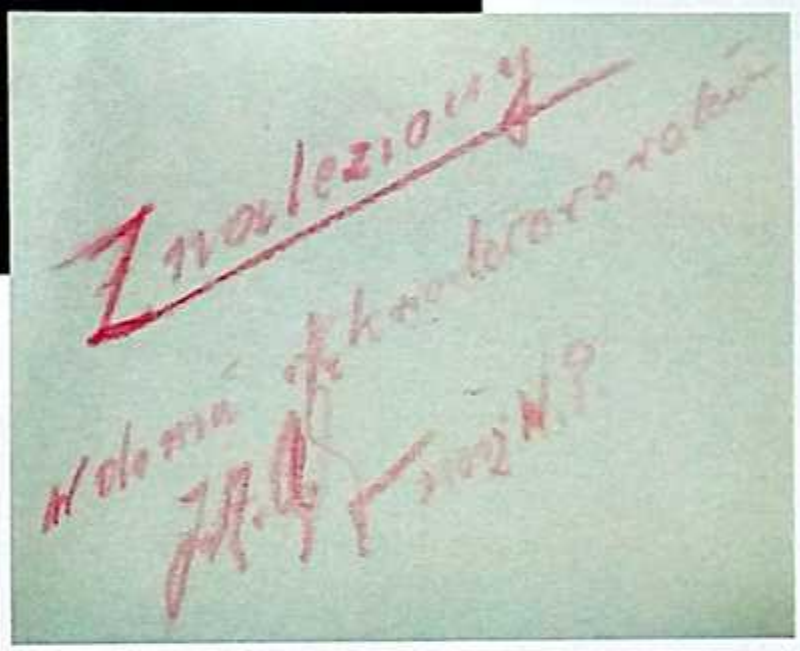

obejmujący około pięćdziesięciu różnobarwnych obrazków z pudełek od zapałek. Były tam indyjskie z kwiatkami, lwami, samolotami i fakirami, był pojedynek krokodyla ze słoniem, były australijskie z koroną, egipskie z jakimś jegomościem w fezie, z kotwicą, z literą V, były południowoafrykańskie, angielskie, nowozelandzkie, amerykańskie – słowem cały wachlarz egzotycznych nazw, narodowości, mały wykaz różnych krajów, niemal ilustracja podręcznika geografii".

Ze wspomnień żołnierzy wynika, że zanim przybycie na front umożliwiło kontakt z nieprzyjacielskim sprzętem, dając możliwość pozyskiwania jego elementów, zadowalano się gromadzeniem przedmiotów z macierzystej armii. Stephen E. Ambrose opisuje wyniki kontroli szafek należących do świeżych rekrutów Kompanii E: „Przy okazji wychodziły na jaw niecodzienne zainteresowania żołnierzy. Jeden z nich, na przykład, kolekcjonował przydziałowe wojskowe prezerwatywy. Parę sztuk zapewne nikogo by nie zdziwiło, ale żołnierz miał ich ponad dwieście". Militaria zbierali żołnierze prawie wszystkich armii. William Lubbeck, który jako artylerzysta Wehrmachtu walczył pod Leningradem, opisuje: „Pomimo zakazów nie było czymś niezwykłym dla niemieckich żołnierzy przesyłać do Niemiec zrabowany rosyjski majątek, jak ikony i kosztowności. Najczęściej jednak żołnierze odsyłali przedmioty zabrane z pobojowisk lub od pojmanych żołnierzy Armii Czerwonej. Były to na przykład sowieckie pistolety lub odznaczenia".

We wrześniu 1939 roku żołnierze niemieccy polowali na emaliowane polskie tablice z orłem II RP. Zabierano je z granicznych posterunków, potem ze szkół i urzędów w głębi Polski. Na zdjęciach widać czasem te tablice przewożone na błotnikach pojazdów. Poszukiwane były polskie szable. Wśród niemieckich żołnierzy istniał też zwyczaj zabierania przynajmniej jednej monety z kraju, do którego zawędrowało się, pełniąc służbę. Pod koniec wojny w Wehrmachcie zdarzali się amatorzy numizmatów, którzy zdołali zgromadzić imponujące zbiory ówczesnego europejskiego pieniądza bitego.

Amerykanie – najwięksi kolekcjonerzy

Znamienne jest, że największymi kolekcjonerami byli Amerykanie. Mieli oni niejako ułatwione zadanie – w Europie przez cały czas byli w ofensywie, mogli więc wciąż pozyskiwać nowe nabytki porzucone na szlakach odwrotu Wehrmachtu. Sceny związane z żołnierskim zwyczajem kolekcjonowania, szeroko rozwiniętym w US Army, widoczne są w słynnym filmie „Szeregowiec Ryan". Jeden z bohaterów chowa w pojemniku garść piachu z plaży Normandii, a w plecaku ma podpisane puszki z piaskiem z innych miejsc lądowań. Żołnierze zabierają Niemcom m.in. nóż Hitlerjugend, gromadzą niemieckie >>>

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

>>> hełmy itd. W wojennym filmie „Furia" tytułowy amerykański czołg jest wręcz wypakowany wszelkimi hitlerowskimi pamiątkami, które widać w scenach pod pancerzem. Bardzo wiele z niemieckich militariów, obecnych na amerykańskim rynku, zostało zabranych właśnie jako pamiątki przez żołnierzy.

„Najbardziej poszukiwane były pistolety Parabellum, odznaki nazistowskie, zegarki, biżuteria, pierwsze wydania »Mein Kampf« i drogie alkohole. Wszystko, co miał przy sobie jakikolwiek niemiecki żołnierz, było do wzięcia od ręki", wylicza bez ogródek amerykański pisarz Stephen E. Ambrose.

Dobitnie widać, że nie ograniczano się do przywiezienia do domu jakiegoś jednego, symbolicznego trofeum. Autor „Kompanii braci" opisuje jak w żołnierzach odzywał się typowo kolekcjonerski duch, a niektóre ze wspomnień mogą przyprawić współczesnego zbieracza o szybsze bicie serca: „Wszędzie roiło się od niemieckich żołnierzy – Wehrmachtu, Waffen-SS, oficerów, podoficerów, szeregowych, do wyboru do koloru – szukających kogoś, komu mogliby się poddać. Tym żołnierzom zabieraliśmy pistolety, noże, zegarki, zimowe kurtki podbite futrem, panterki. W swojej kolekcji mam teraz Parabellum, dwa Walthery P 38, pistolet maszynowy Schmeisser, dwie panterki, zimowy kombinezon maskujący, kilka hitlerowskich flag, mniej więcej po metrze długości, i lotniczy zegarek".

Podobna prawidłowość panowała na azjatyckim teatrze działań wojennych. Tam najbardziej rozchwytywane były japońskie flagi z namalowanymi patriotycznymi sentencjami, ozdobne czarki do sake i butelki na ten trunek, ale przede wszystkim osławione samurajskie miecze. W praktyce jednak zbierano wszystko, podobnie jak w Europie – japońskie bagnety, pasy, manierki, menażki, lornetki i co tylko walało się na pobojowisku.

Ogólnie wiadomym pozostaje fakt, iż gromadzenie coraz większej kolekcji wojennych reliktów budzi nieraz sprzeciw pozostałych domowników. Dla kolekcjonera to żadna nowość, i analogiczna sytuacja nieraz miała miejsce już u zarania tego hobby.

Opakowania po niemieckich, włoskich, brytyjskich i australijskich zapałkach i papierosach – przedmioty pożądania dla polskich żołnierzy hobbystów w Północnej Afryce, a zapewne także kolekcjonerów wszystkich armii na innych frontach.

Odznaki, emblematy, ordery, medale, naszywki. Znajdowane, wymieniane, kradzione, kupowane, gubione, rekwirowane, odsprzedawane... Tak w latach wojny rodził się fenomen militarnego kolekcjonerstwa.

Po obu stronach frontu dość szybko pojawiły się pomysły, by ze zniszczonego sprzętu ciężkiego odkręcać na pamiątkę wszelkiej maści tabliczki znamionowe.

„To niewinne, choć nieco wariackie zbieranie niewielkich papierków, nie obciążało zbytnio naszych bambetli. Ale nie wszyscy ograniczali się do tej nieszkodliwej igraszki – relacjonuje autor książki »Po Narviku był Tobruk«. – Znałem kaprala, który uparł się, że musi mieć po jednym egzemplarzu każdego rodzaju broni nieprzyjacielskiej. Ponadto gromadził różne części samochodowe – choć nie miał nic wspólnego z motorami spalinowymi i szoferstwem – wszelkiego rodzaju oporządzenie włoskie i niemieckie, nawet naczynia kuchenne. W krótkim czasie zdołał zgromadzić około 50 kg najdzikszego szmelcu. Z początku woził to ze sobą, ale w końcu dowódca plutonu skląl go od ostatnich i musiał biedak porzucić swoje »skarby«".

Podobnie jak w dzisiejszych czasach, dbając o rozwój kolekcji, należało działać szybko i wykazywać się zdecydowaniem, czego akurat frontowcom nie brakowało. Nie marnowano żadnej okazji na rozszerzenie zbioru. Autor „Kompanii braci" opisuje zdarzenie z wiosny 1945 roku, gdy Amerykanom chciał poddać się generał Theodor Tolsdorf, dowódca LXXXII Korpusu, zwany przez swoich żołnierzy Szalonym Tolsdorfem. Gdy omawiając warunki kapitulacji Niemiec, żądał obecności starszego oficera przy >>>

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

GOLDEN'S
GOLD FLAKE
CIGARETTES
FEDERAL
SAFETY MATCHES
ACHILLE DANFI - MILANO
DAL 1760
Privat
WELT-HÖLZER
IMPRÄGNIERT
ZÜNDER
HAUSHALTSWARE
PLAYERS
NAVY CUT
CIGARETTES
MEDIUM
HAUSHALTSWARE
pst!
AFRICAIN
SCHWARZE CIGARETTEN
BRITISH MADE
BRYANT & MAY'S
"BRYMAY"
SPECIAL SAFETY MATCH
37 PRIZE MEDALS
Kreuzweingarten
3 hands
Espen-Zündhölzer
Korfu
rot

>>> składaniu broni, Amerykanie chcąc spełnić jego postulat, wysłali samochód po kogoś odpowiedniej rangi. „Kiedy podporucznik wyruszył na poszukiwania kogoś starszego, Heffron przejął inicjatywę we własne ręce i »wyzwolił« Parabellum generała oraz jedną z jego walizek. Zawierała ona kilka Żelaznych Krzyży i około pięciuset pornograficznych fotografii ze zbiorów dowódcy korpusu".

Odznaczenia

Wśród zbieranych militariów osobną kategorię stanowiły odznaki i medale. Zbierano nie tylko odznaki wroga, także własnych wojsk. Różnorodność alianckich oddziałów oraz ich wielonarodowy skład przekładał się na ogromną ilość naszywek, emblematów i odznaczeń.

„Bardzo rozpowszechnione było wymienianie polskich odznak na australijskie i inne. Te metalowe symbole różnych armii alianckich nakładano na pasy. Rekord bił znany w całej Brygadzie miłośnik rumu i innych napojów wyskokowych, doskonały monter Mońkowski, który będąc zdemobilizowany, na własną rękę zaokrętował się i przybył do Tobruku. Miał on na swym parcianym pasie około czterdziestu znaków", opisuje Janusz Jasieńczyk.

Kradzieże i kolekcjonerskie trendy

Żądza posiadania coraz to nowych obiektów w kolekcji oraz płynące z frontowych realiów zbrutalizowanie obyczajów powodowało, że nie cofano się przed kradzieżami. Steven E. Ambrose w „Kompanii braci" opisuje wściekłość amerykańskich spadochroniarzy, którzy wycofani na tyły orientują się, że ich dobytek rozkradli żołnierze ze służb zaopatrzenia. Przedmioty, które padły łupem złodziei, świadczą o wszechogarniającym kolekcjonerskim trendzie: „Brakowało kombinezonów spadochronowych, koszul, odznak pułkowych, zapasowych butów spadochronowych, pamiątkowych brytyjskich odznak i kombinezonów Denisona, paneli czasz, które pozwoliły im bezpiecznie lądować w Normandii i Holandii, zdobycznej broni i wszelkich innych bezcennych pamiątek".

Żołnierze Wehrmachtu w pierwszych dniach kampanii Barbarossa – jeszcze jest nastrój i czas, by cieszyć się nowymi pamiątkami.

Podczas kampanii wrześniowej Niemcy zabierali tablice z polskim godłem i broń białą jako trofea.

Żołnierze Wehrmachtu cenili kubki z zastaw kantynowych Armii Czerwonej. Porcelanę zdobytą w Rosji dumnie wozili ze sobą przerzucani do Francji czy Włoch, co potwierdzają archiwalne zdjęcia.

Po kapitulacji Niemiec

Apogeum kolekcjonerskiego szału nastąpiło jednak w samych Niemczech zaraz po kapitulacji. Po pierwsze, z wiadomych względów tam właśnie znajdowało się najwięcej potencjalnych nabytków do zbioru, a po drugie po zniszczeniu hitlerowskiego reżimu nie były one już nikomu potrzebne – oczywiście poza zbieraczami. Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi czy Polacy nie musieli już walczyć, i mogli zająć się przyjemniejszymi rzeczami, jak kolekcjonowaniem hitlerowskich przedmiotów. Skala zapotrzebowania na te artefakty była tak wielka, że niektórzy niemieccy wytwórcy broni białej

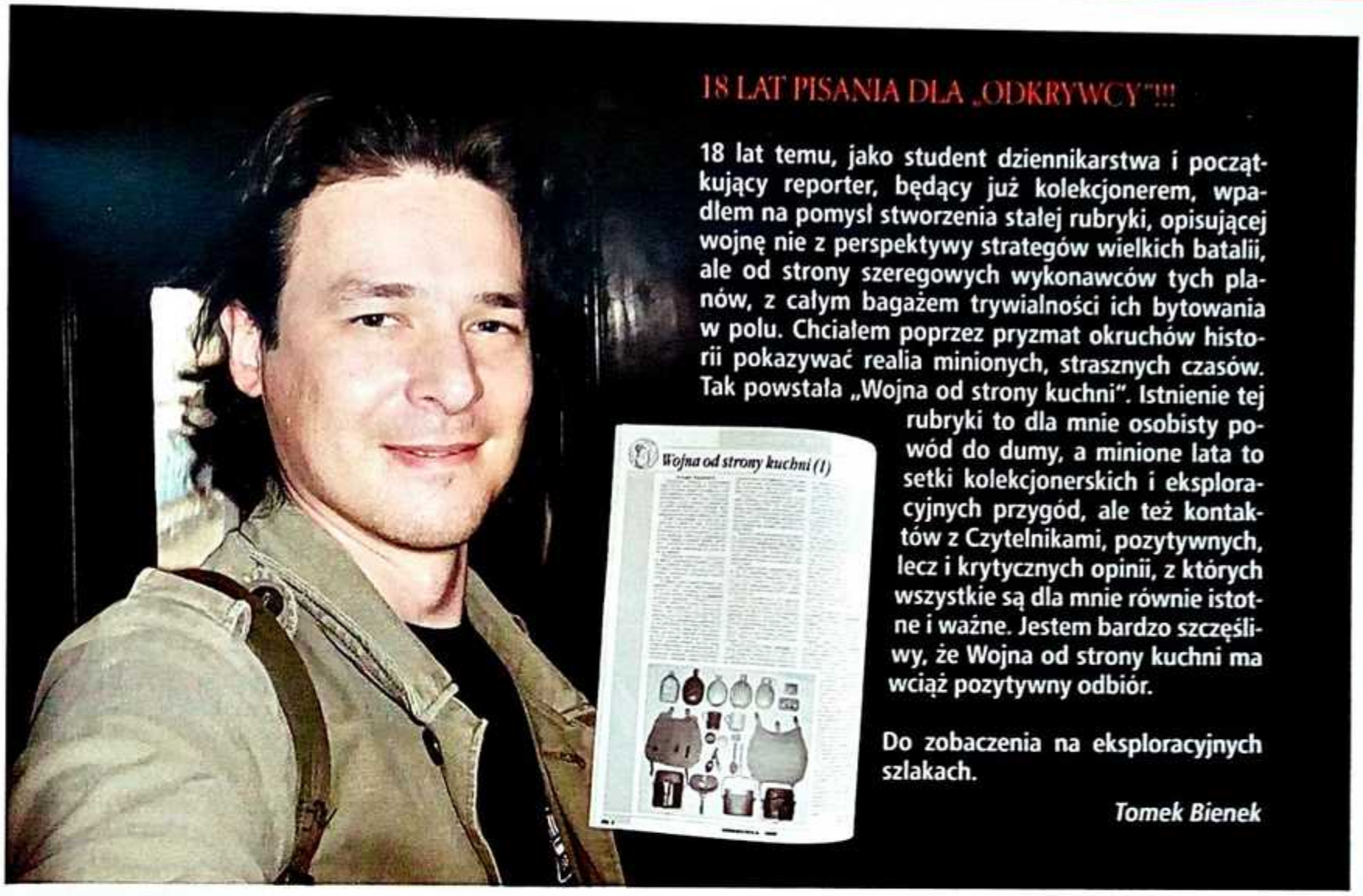

czy odznak kontynuowali produkcję; odbiorcami nie były już nazistowskie struktury, ale alianccy żołnierze, którzy nie zdołali zdobyć podczas walk konkretnej, brakującej im w kolekcji odznaki czy kordzika. Ciekawe zjawisko stanowi też fakt, że w zachodnich Niemczech Aliantom stopniowo wyrastała konkurencja – niektórzy Niemcy też powoli zaczynali zbierać elementy wszechobecnego, walającego się w rozmaitych miejscach bezpańskiego umundurowania i wyposażenia.

Szczytem kolekcjonerskich sukcesów było pozyskiwanie pojazdów. Tej zabawie sprzyjał powojenny chaos i setki porzuconych przez Niemców samochodów.

„Szeregowi pocieszyli się pozostawionymi przez Niemców licznymi ciężarówkami, łazikami, motocyklami, samochodami pancernymi, które ich potrzebom odpowiadały w zupełności, a nie kłuły w oczy przełożonych", opisuje Stephen E Ambrose. W innym fragmencie jego książki czytamy:

„Samochodów wszelkich typów i wielkości było w bród. Miasto pękało w szwach od limuzyn sztabowych, wojskowych ciężarówek, łazików Volkswagena, cywilnych samochodów wcielonych do służby. Sierżant Hole jeździł wozem strażackim Mercedesa, ciesząc się jak dziecko z wrażenia, jakie robią na mijanych dzwonki. Talbertowi przypadł w udziale jeden z trzyosiowych Mercedesów Hitlera z pancernymi drzwiami. Carson jeździł samochodem Göringa".

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

Tomasz Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914–1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

LITERATURA:

STEPHEN E. AMBROSE, „Kompania braci", Wydawnictwo Magnum, Warszawa 2016.
JANUSZ JASIEŃCZYK, „Po Narviku był Tobruk", Sekcja Wydawnicza Jednostek Wojska na Śr. Wsch. Jerozolima 1945.
WILLIAM LUBBECK „U bram Leningradu. Wspomnienia żołnierza Grupy Armii „Północ"." Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2009.

ROK TYSIĘCZNY

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. DZISIAJ INSPEKTOR DS. OCHRONY ŚRODOWISKA NA DUŻYM KONTRAKCIE.

Wyjątkowa data w historii Polski. Otóż do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie pielgrzymuje cesarz Otton III, który spotyka się z ówczesnym księciem Bolesławem, nakłada mu na głowę diadem i wręcza włócznię św. Maurycego. Interesem cesarza jest rozszerzenie cesarstwa o Słowiańszczyznę. Resztę możecie sobie doczytać w mądrych książkach. Mnie ciekawi, czy organizatorzy zjazdu gnieźnieńskiego poszukiwaczy z 18 listopada Anno Domini 2017 posiłkowali się przełomową historią, licząc na to samo? W historii ruchu eksploracyjnego na pewno współczesny zjazd gnieźnieński się zapisze. Otóż powstał Polski Związek Eksploratorów, który ma reprezentować wszystkich poszukiwaczy w Polsce. Pytanie czy wszystkich? Od dłuższego czasu trwały dyskusje, czy reprezentować tylko zarejestrowane stowarzyszenia, czy również poszukiwaczy indywidualnych, tzw. „samotne wilki", podobnie jak czy ma to być federacja, czy związek, jak się ma nowotwór nazywać etc. Gdzie dwóch poszukiwaczy, tam tradycyjnie pojawiały się trzy opinie, a czas biegł sobie swoim nieubłaganym trybem, z każdym dniem przybliżając niekorzystne zmiany dla poszukiwaczy w ustawie o ochronie zabytków. Zmiany są niekorzystne z tego tytułu, że łamanie ustawy (czytaj poszukiwania bez zgody konserwatora) nie będzie już traktowane jako wykroczenie, ale przestępstwo, no i zmieniły się widełki kar finansowych.

Polski Związek Eksploratorów rejestruje się teraz w KRS (stan na początek grudnia 2017), planuje walne zgromadzenie, wybór władz i programu. Lepiej późno niż wcale i oczywiście trzymam kciuki, tylko jest to w dużej mierze zapłon mocno spóźniony. Zamiast deliberować i składać wnioski o zmianę ustawy przed wejściem jej nowelizacji, teraz PZE będzie miało sporo zajęć, by organizować pomoc prawną dla poszukiwaczy, którzy wpadną w kłopoty, a takich już, niestety, nie brakuje.

Dwa świeże kwiatki:

1. Instrukcja dla policji: w przypadku przyłapania na poszukiwaniu należy wylegitymować, zrobić delikwentowi zdjęcie, później sprawdzić, czy ma zgodę od WKZ. W przypadku braku takowej należy zrewidować ananasa, jego samochód, miejsce zamieszkania. Zabezpieczyć zabytki oraz zatrzymać sprzęt służący do poszukiwań. Tutaj ciekawostka, ów sprzęt, to nie tylko piszczałki, ale również georadary, magnesy neodymowe oraz sprzęt do nurkowania. Co ważne – funkcjonariusze mają nie wierzyć, że ktoś szuka meteorytów, zgubionych części od maszyn rolniczych czy zagubionej biżuterii osobistej. Podobno PZE chce skarżyć to cudaczne pismo do Rzecznika Praw Obywatelskich jako łamanie swobód. Ze swojej strony zapraszam funkcjonariuszy na jakiekolwiek rozminowanie, żeby saperom zatrzymali ich narzędzia pracy. Myślę, że chłopaki się nie obrażą, że zamiast ciężko pracować, będzie wystarczyło wziąć prawnika i skarżyć o odszkodowanie.

2. Ostatnio na stronach Komendy Powiatowej Policji w Piasecznie pojawiła się cudowna (chociaż lepszym określeniem byłoby: cudaczna), informacja. Otóż dzielni funkcjonariusze zatrzymali 32-letniego mężczyznę, który handlował zabytkowymi przedmiotami. Tutaj cytacik ze stron KPP Piaseczno: „W jego domu policjanci zabezpieczyli kolekcję zabytkowych przedmiotów wojskowych, w której znajdowały się między innymi: guziki wojskowe z XIX wieku, guzik napoleoński, guziki wojskowe z dwugłowym orłem, guziki z koroną otwartą i koroną zamkniętą, guzik wojskowy grenadierski z XIX wieku, monety oraz kule kartaczne z XIX wieku". Zauważcie, że ani słowa o tym, że kopał, że ustawa o broni i amunicji. Za to jest coś, co centralnie ścięło mnie z nóg i rzuciło w fotel. Ostatnie zdanie policyjnej relacji: „Zgodnie z obowiązującymi przepisami kolekcjonowanie tego rodzaju pamiątek z wojny jest nielegalne". Poważnie? Jak tak podchodzący do prawa funkcjonariusze zainteresują się mną, to skończą się felietony w „Odkrywcy". Będziecie słać paczki do pierdla. Póki co piszcie na adres: biczakrad@gmail.com.

Od redakcji: Radku, felietony można pisać i z celi...